Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 50 (1734) 15–21 grudnia 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

DZIENNIK COTYGODNIOWY

Święty na eksport

str. 14

KONIEC NIERZĄDU

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl a3aa8fdd3e

RĄBANKA POWYBORCZA

Sondaże: United Surveys dla Wirtualnej Polski, CBOS i Opinia24: PiS – 29,2 proc. do 35,2 proc.; PO – 24,7 proc. do 28,8 proc.; Trzecia Droga – 16 proc. do 17,3 proc.; Lewica – 8 proc. do 10 proc.; Konfederacja – 7,7 proc. do 9 proc. W ramach badania nastrojów w narodzie IBRiS w imieniu „Rzeczpospolitej" zapytał, jakim premierem będzie Donald Tusk. Wyniki nie są zachęcające: 10,1 proc. uważa, że znakomitym, a 30,4 proc. – że fatalnym. Nieco ponad 20 proc. ankietowanych uznało, że dobrym; nieco ponad 10 proc. – że złym, a pozostałe 22 proc. minimalistycznie orzekło, że przeciętnym. Z kolei United Surveys na zlecenie RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej" pytał o trwałość rządu. 47,3 proc. sądzi, że gabinet Tuska przeżyje całą kadencję, 8,8 proc. – że ponad połowę, 27,2 proc. – że rok do dwóch, a 7,2 proc. – że mniej niż rok. IBRiS dowiedział się dla Radia ZET, że 65,5 proc. Polaków nie wierzy, że prezydent Duda będzie współpracował z rządem. Przeciwnego zdania jest 29 proc., z czego 2,3 proc. uznało, że „zdecydowanie tak".

Niezależnie od optymizmu w narodzie lub jego braku rząd Donalda Tuska powstał oraz został zaprzysiężony. W sumie liczy 26 osób. Ludzi Tuska jest w nim wraz z premierem 15, koalicjanci Donalda dostali 11 stołków, w tym dwóch wicepremierów. Kobiet jest dziewięć, w tym trzy do zadań specjalnych, czyli bez teki. Pewnie można byłoby się bez nich obejść, ale wtedy proporcje byłyby jeszcze gorsze. Z innych proporcji: tylko siedem osób wzywało bożej pomocy przy ślubowaniu, co prawdopodobnie oznacza, że w rządzie jest nadreprezentacja polityków wierzących w rozdział Kościoła i państwa. To akurat nas szczególnie nie martwi.

W debacie nad powołaniem Tuska Mariusz Błaszczak zaistniał jako twórca nowych frazeologizmów. Donald Tusk – ogłosił Błaszczak – „kuglarz emocji" i „eliminator przyjaciół" stanął na czele „koalicji chaosu". Toż to czysta poezja. Nieco mniej oryginalny, ale równie poetycki był marszałek Hołownia, który odnotował, że Bartłomiej Sienkiewicz wchodzi „witany entuzjazmem, niesiony falą spontanicznych okrzyków". Włodzimierz Czarzasty przyjął zgoła inną stylistykę, informując sejm i naród, że lewica będzie głosować na Donalda Tuska, albowiem jest to „fajny gość, normalny facet, uśmiechnięty". Z bliżej nieznanych przyczyn twarz Donalda Tuska wyrażała w tym momencie głębokie wkurwienie.

Nie tak wszakże głębokie, jak zaprezentował prezes Kaczyński, który już po zakończeniu obrad wbiegł truchcikiem na trybunę, żeby ogłosić, że nie wie, kim byli dziadkowie Tuska, ale: „wiem jedno: jest pan niemieckim agentem". Jeżeli Kaczyński liczył na to, że to jego ksenofobia zostanie zapamiętana z tego posiedzenia sejmu, to przeliczył się mocno, ponieważ przelicytował go Grzegorz Braun, który – niczym poseł Robert Telus na festynie strażackim – chwycił za gaśnicę i zgasił świece chanukowe w holu sejmu, wywołując skandal o skali międzynarodowej. Będzie go to kosztowało pół ryczałtu przez kwartał i całą dietę przez pół roku, ale jesteśmy dziwnie pewni, że poseł Braun uważa, że było warto.

Zanim sejm klepnął Tuska, odbyła się rytualna debata nad trzecim rządem Morawieckiego. Zobaczyliśmy nowe oblicze starego premiera, który okazał się nieledwie rewolucjonistą. „Polska młoda, dynamiczna wymaga wielkiej roboty od wszystkich boomersów i dziadersów" – orzekł Morawiecki, dodając: „możemy być różni, musimy być równi". Za pierwszego PiS-u w 2006 r. Rada Europy zainicjowała kampanię „Wszyscy różni, wszyscy równi". W polskiej edycji nosiła ona tytuł: „Wszyscy różni, wszyscy solidarni", albowiem słowo „równość" nie mieściło się w pisowskim języku. Jednak jest postęp.

Spod fallicznego pomnika Armii Krajowej – który Urban opisywał swego czasu jako sposób na to, żeby Bóg z bliska zobaczył, jak wygląda żelbeton – ministrowie wyruszyli do pałacu prezydenckiego biało-czerwonym autobusem z napisem „Dziękujemy, Polsko". Nie wszyscy są zgodni co do tego, że adresat podziękowań jest właściwy. Polska Rada Biznesu – organizacja rodzimych bogaczy – przypomina, że tak naprawdę to jej zasługa. „PRB przed wyborami wsparła osiem kampanii frekwencyjnych, ich łączny zasięg był bliski 350 milionów wyświetleń. Kampanie, które wsparliśmy, trafiły do prawie 4 na 5 osób w Polsce i ogromna większość tych osób, jeśli się nie mylę, 78 proc., deklaruje, że miały wpływ na zachęcenie ich do wyborów" – ogłosił w TVN24 niejaki Jacek Olechowski. Nieważne, kto głosuje, ważne, kto namawia do głosowania.

Rozkoszna scena z zaprzysiężenia. Donald Tusk podpisał akt powołania swojego rządu. Huraganowe oklaski. Andrzej Duda podpisał postanowienie o powołaniu w skład rady ministrów. Cisza na sali. Prezydent niespeszony wziął akt, rozłożył z dumą na wysokości piersi i pokazał do kamer. Nadal cisza. Wobec czego Andrzej Duda zalotnie kiwnął głową do Donalda Tuska. „Kto, ja?" – zapytał uniesieniem brwi Tusk. „Tak" – kiwnął głową Duda. Z pewną taką nieśmiałością Tusk podszedł do Dudy i chwycił drugą część okładki. Huraganowe oklaski. Czy prezydent RP nie ma w swoim pałacu nikogo, kto byłby gotów bić mu brawo?

Rys. WIDGET

Z URNY URBANA

Minęły 42 lata od ogłoszenia stanu wojennego. Niegdyś 13 grudnia hucznie obchodzono jako wielką rocznicę szczytu martyrologicznego solidaruchów, dziś ledwie się o niej wspomina. Przypomnijmy sobie, co pisał Urban w grudniu 2011, w 30. rocznicę ogłoszenia stanu wojennego.

Kochanek stanu wojennego

Dożyliśmy w większości 30. rocznicy stanu wojennego – jednego z niewielu udanych przedsięwzięć w historii Polski. Przez te trzy dziesięciolecia liczba tych, którzy aprobują tę operację, zmalała z ponad 70 procent w 1982 r. do ponad 40 procent w 2011. Czyli kurczyła się w tempie wymierania świadków i przybywania młodych, których w szkołach IPN uczy historii.

Z okazji 30-lecia sąd zakończy proces sprawców stanu – prawnie karkołomny, politycznie zakłamany. Potępi fakt historyczny, jego autorów odeśle do ich łóżek. Jarosław Kaczyński urządzi zaś marsz przeciw Tuskowi i Sikorskiemu. Ten więc, kto czynił z 13 grudnia 1981 r. antyczną tragedię, wystawia ją teraz jako operetkę. Ponieważ przeciw stanowi i w jego obronie powiedziano już wszystko, spróbuję uzmysłowić, co by się stało, gdyby gen. Jaruzelski z towarzyszami nie wprowadził stanu wojennego, a zdarzenia potoczyły się wedle pragnień Wałęsy i jego kolegów.

Partia i rząd, nie mogąc sprostać żądaniom mocarnej Solidarności, zrzekły się władzy.

Interwencja wojskowa ZSRR nie nastąpiła.

Wojna domowa w Polsce nie wybuchła.

Komunistyczni dygnitarze emigrują, przewidują bowiem, że rządząca Solidarność ich obwini za kłopoty i rozczarowania, jakich ludność doświadcza teraz pod władzą działaczy tego związku.

My, komuna, uciekamy na Zachód, w Moskwie bowiem mieszkalibyśmy na Łubiance jako zdrajcy socjalizmu. Królowa angielska uderza uchodźcę Jaruzelskiego mieczem, pasując go na rycerza za oddanie władzy siłom prozachodnim. Prezydent Reagan podejmuje sir Wojciecha i lady Barbarę uroczystym obiadem.

Lech Wałęsa obrany zostaje prezydentem Polski, a dla równowagi Andrzeja Gwiazdę mianuje się premierem.

Związek Radziecki chwilowo wstrzymuje dostawy do Polski ropy, gazu i rud metali, żądając rozliczeń w twardej walucie po światowych cenach.

Premier Gwiazda i minister gospodarki Anna Walentynowicz jadą do Moskwy. Gwiazda mówi Breżniewowi, że dzięki poparciu społecznemu, jakie ma Solidarność, jego rząd będzie większym i pewniejszym przyjacielem ZSRR niż skompromitowany Jaruzelski i jego ekipa. Solidarność skupia miliony robotników i chłopów miłujących socjalizm. Masy pracujące nie chcą kapitalizmu.

– *Wy, Zwiezda, charoszyj towariszcz* – odpowie Breżniew.

Marszałek Ustinow zażąda zaś, aby całe polskie siły zbrojne przeszły pod komendę dowódcy Układu Warszawskiego. Tymczasowo zdyslokowane zostaną na Kaukazie i Syberii. Szlaki komunikacyjne biegnące przez Polskę ochraniać będzie tamańska dywizja.

Śląski region Solidarności wraz z Solidarnością górniczą ogłaszają pogotowie strajkowe. Żądają ograniczenia pracy pod ziemią do czterech dni w tygodniu po sześć godzin i zarazem podniesienia płac, deputatów i emerytur. Stocznie strajkują, żądając podniesienia państwowych subwencji do wysokości niwelującej skutki ograniczenia radzieckich zamówień. Nauczyciele i lekarze domagają się mieszkań służbowych. Robotnicy przemysłu maszynowego okupują części swoich zakładów sprzedanych działaczom Solidarności lub dzierżawionych „nowej klasie wyzyskiwaczy". Region Mazowsze popiera prywatne sklepy i warsztaty rzemieślnicze, ale pod warunkiem że ceny w nich określać będzie rząd. Solidarność Rolników Indywidualnych żąda zakazu importu mięsa, a Solidarność miejska – zakazu jego eksportu.

Rząd Gwiazdy wprowadza kartki na żywność, ubrania, obuwie, artykuły gospodarstwa domowego oraz gwoździe. Z powodu braku pokrycia przydziałów kartkowych NSZZ „Solidarność" grozi strajkiem generalnym. Minister Annę Walentynowicz zastępuje prof. Leszek Balcerowicz i ogłasza plan prywatyzacji, urynkowienia i wyrzeczeń.

W następstwie pierwszych posunięć Balcerowicza wybory wygrywa PZPR. Gen. Jaruzelski odmawia powrotu do kraju i objęcia opróżnionego fotela prezydenta. W swej odezwie życzy Polsce pomyślności, lecz wyjaśnia, że obowiązki wiążą go z jego dobrami w Kornwalii.

Na czele partii i rządu staje więc młody komunista Leszek Miller i wyrusza w pieszą pielgrzymkę do Watykanu całować w rękę papieża Jana Pawła II. Gdy to czyni, staje się cud – w kraju spada rzęsisty deszcz odwracający klęskę suszy. Kult cudotwórcy oraz nastanie na Kremlu Gorbaczowa pozwala Millerowi wprowadzić kraj do NATO i Unii Europejskiej. Obowiązek utrzymywania Polski przejmują od Rosji Niemcy.

Za to polski Pałac Prezydencki oświetlony zostaje na biało i czerwono, żeby jego widok powodował narodowe wzmożenie, suchostój patriotyczny.

Trybunał Konstytucyjny odmawia delegalizacji Solidarności jako organizacji o antykonstytucyjnych praktykach. Trybunał wywodzi, że jest to organizacja już nieliczna, więc o niskiej szkodliwości społecznej.

Natomiast sąd karny w Warszawie skazuje zaocznie generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka za bezprawne oddanie władzy w grudniu 1981 r., czyli niedopełnienie obowiązków i dezercję.

Wcześniej Obama odmówił ich ekstradycji do Polski.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

Marek Suski przypomniał, że Hitler też doszedł do władzy w wyniku demokratycznych wyborów. I tak z prostego żołnierza Wehrmachtu dziadek Tuska awansował na kanclerza Rzeszy.

Islandzkie policjantki na szkoleniu w Polsce zamówiły striptizera. Przed ferowaniem wyroków upewnijmy się, że nie był to ksiądz po kolędzie.

Przemysław Czarnek przedstawił, jak wyrwał szkoły z marazmu i nędzy. Żeromski w „Syzyfowych pracach" nie ujęłby tego lepiej.

TVP pochwaliła się zdjęciem wielkiej przystrojonej choinki i prezentami. TVP w tym roku odwiedzi Dziadek Mróz.

Z danych europejskich wynika, że **w Austrii, Polsce i Rumunii** żyją najszczęśliwsi obywatele UE. To znaczy, że poprzeczka nie jest zawieszona zbyt wysoko.

Konfederacja przyznała, że zamierza skupić się na walce z PiS-em o głosy konserwatywnego elektoratu. Znając stosunek konfederatów do zwierząt, na pierwszy ogień pójdzie Ryszard „Pies" Terlecki.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

Jaka najlepsza kara dla Brauna?

Facebook

Oskar Sikorski: 25 lat więzienia albo 100 zł grzywny.
Bartek Orzeł: Dać mu w jasełkach rolę osła klęczącego w stajence przed najsłynniejszym Żydem na świecie.
Poezja niefrasobliwa:
To połączenie mnie nie zachwyca:
Chanukija, Braun oraz gaśnica.
Zaproponuję więc dla odmiany:
Braun, kaftan oraz gumowe ściany.
Tomek Śmigulski: Teraz niech to wszystko poodkurza. Pędzelkiem do makijażu.
Kuba Wiśniewski: Do zjedzenia surowy ziemniak, na popitkę proste wino, duży łyk maślanki, a potem skakanie na jednej nodze.
Anna Pietrzyk: Przymusowa przynależność do Nowej Lewicy.
Tomasz Sowa: Wycieczka do Jerozolimy.
Łukasz Jelonkiewicz: Uświadomić go, że głosi, że Żyd jest królem Polski.
Dariusz Łowiński: Randka z A.M. Żukowską.
Szymon Sobecki: Niech robi coroczny przegląd gaśnic w sejmie.
Rafał Trybulski: Sprzątanie synagogi przez rok.
Wieslaw Radkiewicz: Zdemolować kaplicę sejmową.
Piotr Mrówka: Rytualne nałożenie jarmułki przez Żyda z Ukrainy.
Bartosz Olekszy: Weekend w Dąbrowie Górniczej.
Maciej Czarniecki: Dożywotni zapas macy.
Radosław Pietrala: Zmiana nazwiska na Klaun.

Forum

BOG: Obrzezać.

eprasa.pl a3aa8fdd3e

AAA (o)szukam pracownika

Rynek oszustw na rekrutera kwitnie.

W związku z rekordową podwyżką płacy minimalnej dynamika rynku pracy weszła w tryb uwiądu starczego. Mimo że jeszcze we wrześniu Polska znalazła się w pierwszej trójce krajów Unii Europejskiej z najniższym poziomem bezrobocia, zdobycie etatu zaczyna przypominać pracę w pełnym wymiarze godzin. Kto pragnie zachować comiesięczną ciągłość wpływów na konto wprost proporcjonalnie do kolejnych setek wysłanych CV, które pozostają bez odpowiedzi, zaczyna organoleptycznie doświadczać szeroko pojętej desperacji. Z koniunktury przypadków beznadziejnych prężnie korzystają oszuści.

Na ołtarzu beznadziei

W 2024 r. płaca minimalna – podobnie jak w obecnym – wzrośnie dwukrotnie: od stycznia i od lipca. Wzrost ten ma charakter rekordowy, bo sięgnie odpowiednio ponad 20 proc. w stosunku do 2023 r. To, co ucieszyło pracowników, ostudziło zapał pracodawców. W lipcu przyszłego roku koszt utrzymania pracownika na umowie o pracę z pensją minimalną 4300 zł brutto wyniesie rocznie 61 935 zł. Część przedsiębiorców w celu zoptymalizowania kosztów pracy już zdecydowała się na redukcję personelu, część z decyzją o ruchach, jakie może wykonać w związku z zatrudnieniem, czeka na końcoworoczne podsumowanie budżetów. Stabilna praca powoli staje się luksusem. Rynek pracownika zaczyna przypominać targ niewolników. Nawet ci najlepiej wyedukowani i doświadczeni mają problem już nie tyle ze znalezieniem sensownego zatrudnienia, ale zatrudnienia w ogóle, nawet takiego na przeczekanie kryzysu.

Z perspektywy dołu finansowego dla każdego, kto szukając fuchy, sięgnął dna i robi drugi odwiert, przychodzi moment, kiedy każde ogłoszenie wydaje się interesujące. Jak się okazuje, na tych, którzy szukają możliwości uczciwego zarobku, wciąż sprytnie zarabiają inni. Stare metody robienia w wała zyskują nowe oblicza.

Eksperci firmy Randstad, światowego lidera doradztwa personalnego i pracy tymczasowej, wespół z Państwowym Instytutem Badawczym NASK podkreślają, że zjawisko oszustw na rekrutera wciąż ewoluuje i zbiera niezłe żniwo w Polsce. Można stracić nie tylko wrażliwe dane, pieniądze, ale i godność, stając się ofiarą fetyszysty.

Jak szukać, żeby nie dać się wyruchać?

Masz gówno? Zarobisz równo!

Jako że nawet człowiek o inteligencji parówki wieprzowej, który przesiedział ostatnich 10 lat w pierdlu, nie nabierze się na ofertę kalibru „Pracuj z domu cztery godziny dziennie – tygodniówki do 2000 zł" (a wszystko to bez doświadczenia), macherzy od lewych ogłoszeń kombinują, jak mogą, a że potrafią wiele, wcale nie tak trudno dać się złapać na haczyk. Niekiedy oferty wystawiane przez oszustów w portalach ogłoszeniowych, które nie weryfikują firm (tak jak np. OLX), wygląda całkiem wiarygodnie: skradzione logo istniejącej korporacji, odpowiednie oflagowanie ogłoszenia zdjęciami „firmowych" wnętrz potrafią uśpić czujność strudzonego beznadzieją kandydata.

I tak przyszły pracownik sklepu, recepcji w sieci placówek medycznych, specjalista ds. administracji czy sprzedaży ładuje swoje CV za pośrednictwem portalu, żeby po kilku dniach otrzymać drogą mailową zaproszenie na kolejny etap rekrutacji – wymarzoną rozmowę o pracę. W wiadomości e-mail oprócz miejsca i godziny spotkania pojawia się prośba o ponowne przesłanie CV na adres mailowy firmy krzaka („wiarygodność to nasza dewiza") i wypełnienie przesłanego w linku formularza, w którym kandydat ma określić, jaka konkretnie forma zatrudnienia go interesuje (umowa o pracę, umowa-zlecenie). I jeszcze jeden drobiazg: polityka firmy wymaga założenia konta bankowego we wskazanej placówce, naturalnie nieodpłatnie. Brzmi idiotycznie? Nie dla człowieka wysyłającego 30 CV dziennie w odpowiedzi na oferty, których wymagania często przebijają sufity absurdów, więc nawet gdyby kazano zachrumkać mu jak świnia przez telefon, nie uznałby tego za podejrzane. Konto założone? Świetnie. Lewy rekruter wykonał zadanie i zgarnął prowizję.

Devilcorp

„Płatny staż w dziale marketingu" nie brzmi najgorzej, kiedy widmo zwiedzania śmietników w poszukiwaniu żarcia nieznośnie nabiera realizmu. Może na coś się te studia w końcu przydadzą.

Po przesłaniu CV firma ściąga szczęśliwych wybrańców do swojej siedziby na kolejne etapy w chuj wieloetapowej rekrutacji. Po wypełnieniu szeregu ankiet, których końca nie widać, kandydatów przestaje interesować, dlaczego na jednym piętrze zapyziałego biurowca są cztery przedsiębiorstwa zajmujące się tym samym i że sami już nie do końca wiedzą, na czym ten staż ma polegać.

Kiedy wszyscy uporają się z odpowiedzią na pytanie o ich wewnętrzne zwierzę oraz jak sprzedać rybie rower, ci najbardziej wyjątkowi dostają zaproszenie na szkolenie. I to nie byle jakie! Firma, do której aplikowali, językiem nabitym branżowym hasłami oznajmia, że fundacja XYZ (ochrona klimatu, zwierząt, praw człowieka – niepotrzebne skreślić) wykupiła u niej usługi outsourcingowe, a kandydaci stają właśnie przed szansą zasilenia tego wyjątkowego zespołu. Kiedy ustają gromkie oklaski, podniosłość chwili przechodzi w orkę na ugorze: rekruci pilnie się uczą o organizacji, jej celach, samorealizacji, osiąganiu odpowiedniej modulacji głosu, osiąganiu własnych celów. „Wilk z Wall Street" w nadwiślańskiej wersji, gdzie kołcze mają koszule z poliestru i pewność siebie sklejoną najtańszym żelem do włosów.

Rys. WIDGET

Gdy kandydaci przepuszczeni przez szkoleniową maszynkę mylą już historię z histerią i widzą uszami, wyruszają w teren z liderem, coby przetestować nowo nabyte umiejętności. Tam dostają odblaskową kamizelkę, plakietkę z identyfikatorem, puszkę na datki i z tym wyposażeniem idą dyrygować własną karierą. Kto naciągnie jak najwięcej osób... tfu, uzyska jak najwięcej wsparcia, ma szansę zostać liderem. Kto pejoratywizuje, ten nie wygrywa. Wystarczy przejść się pod najbliższą galerię handlową, żeby zobaczyć, jak wielu ten staż traktuje poważnie…

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Daj mi nogę

Siedem dych na godzinę do ręki za obsługę eventu to stawka akceptowalna, szczególnie jeśli idzie o wskazywanie miejsca do siedzenia dostojnym gościom i suszenie zębów w uśmiechu. Szczegóły zwykle wyjaśnia pani Klaudia albo inna Jowita, „koordynatorka projektu", która zachwycona przeczytanym CV mailowo zachęca kandydatkę do przejścia na wygodną formę kontaktu, najczęściej Messenger na Facebooku (w końcu to młody dynamiczny i elastyczny zespół, a nie jakieś wapno, które rozmawia przez telefon). Co nagle, to po diable, więc urabianie odbywa się stopniowo. Eventy to obsługa szkoleń z (ha!) marketingu i ekonomii. Termin i miejsce będą znane do końca tygodnia, bo firma czeka na wytyczne od zleceniodawcy.

Firma informuje o ujednoliconym ubiorze obsługi i dopytuje, czy aby panie nie będą miały problemu ze strojem męskim, ponieważ dla wszystkich zaplanowano garnitur i krawat. Naturalnie kandydatka powinna przesłać swoje wymiary, żeby przygotowano odzież w odpowiednim rozmiarze. Czy aby potrafi wiązać krawat? Pozostaje kwestia obuwia. Oczywiście firma może zorganizować odpowiednie pantofle, ale oczywiście kandydatka woli swoje, które nie zmasakrują jej stóp przez kilka godzin stania, więc następuje krótka i serdeczna pogawędka o szpilkach i innych balerinach, ale po co gadać, najlepiej pokazać nóżki w pantofelkach i jakoś się dogadamy, które najlepiej będą do tego garnituru pasować. Hi, hi.

Po przesłaniu zdjęć kontakt z „koordynatorką" nie tylko się urywa, ale jej profil znika z mediów społecznościowych, podobnie jak ogłoszenie o pracy z portalu. Niby niegroźne oszustwo, ale wizja spoconego ośliniono dziada tresującego szczura – że się tak mało elegancko wyrażę – do zdjęć tych stóp... Naprawdę nie warto.

Reklama dźwignią handlu

Czasem przychodzi w życiu rodziny ten smutny moment, kiedy kredyt żre więcej niż czterech domowników i na zakupy do galerii chodzi się już tylko po to, żeby ogrzać ciała w chłodny dzień. Dwa etaty plus nadgodziny nijak nie spinają się z wydatkami, a i dorobić nie ma już kiedy, dlatego gdy piękna jak świat hostessa zaprasza do stoiska na „Casting do galerii twarzy – XX edycja", w biedzie zaczyna tlić się nadzieja, że może będzie jak w tym filmie, gdzie z pokojówki robią modelkę, a jak nie, to i reklamą proszku na mrówki człowiek się zadowoli. Dzieci nagle wydają się najpiękniejsze w galaktyce, mąż młodnieje w oczach, a żona przyobleka się jakby w filtry z Instagrama. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana!

Zakres współpracy z „galerią twarzy" obejmuje sesje zdjęciowe, pokazy mody, reality show, teledyski, seriale, fotokatalogi – słowem, głupi by nie skorzystał. Koszt pobytu, obsługa prawna przy zawieraniu kontraktów oraz promowanie wizerunku przez jeden rok to koszt 80 zł. No to ciach, szybka próbna sesja zdjęciowa najbardziej medialnego członka rodziny i mamy to! To jest „ta" twarz. Po wypełnieniu dokumentów „szczęśliwcy" dowiadują się o opłacie w wysokości 400 zł za zdjęcia (halo, darmowy był tylko casting, czyli wyłowienie ich z tłumu szarych twarzy). No ale trudno, trzeba uzbroić się w cierpliwość i dać pracować specjalistom. Ci zajmą się wyszukiwaniem zleceń i oddzwonią. Taaa…

Oczy widzą, uszy słyszą

Specjaliści podkreślają, że informacje, o które pracodawca lub agencja pracy mogą prosić kandydata na etapie rekrutacji, jasno określa art. 221 kodeksu pracy i są to: imię i nazwisko, data urodzenia, wykształcenie i kwalifikacje oraz przebieg dotychczasowego zatrudnienia zawodowego. Przed podpisaniem umowy nikt nie ma prawa wymagać od kandydata podania numeru PESEL czy skanów dokumentów: dowodu osobistego lub prawa jazdy. Oczekiwanie płatności za udział w rekrutacji lub pośrednictwo w niej to również oszustwo. Warto także zachować ostrożność, podejmując kontakt z rekruterami działającymi w mediach społecznościowych. Wystarczy zwrócić uwagę, czy w służbowym e-mailu nie ma literówek, czy podany numer kontaktowy jest prawdziwy, a zdjęcie profilowe nie pochodzi z internetu.

Legalność działania każdej firmy można dodatkowo prześwietlić w dostępnych bezpłatnie rejestrach: CEIDG (Centralna Ewidencja i Informacja o Działalności Gospodarczej) czy KRS (Krajowy Rejestr Sądowy). Natomiast agencje zatrudnienia można sprawdzić w KRAZ, czyli Krajowym Rejestrze Agencji Zatrudnienia. Obywatelu, zachowaj czujność i do roboty.

IDALIA DUBICKA

Za tydzień

Podwójny numer „NIE"

A w nim

Prywatne listy Urbana do Daniszewskiej!

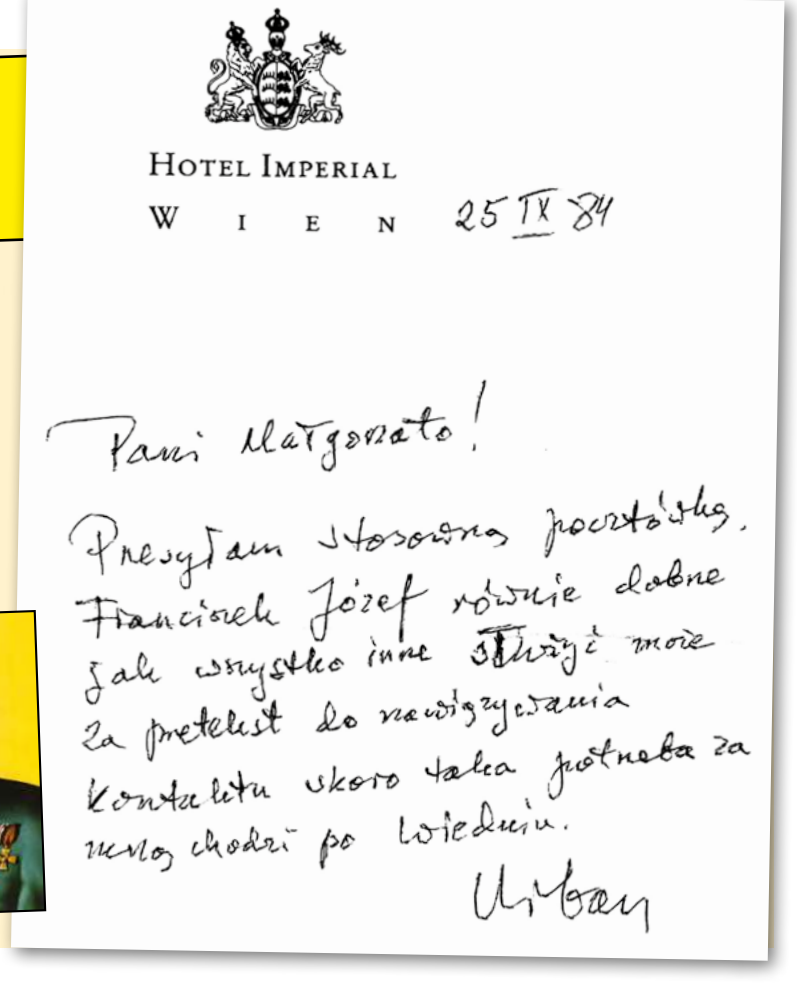
HOTEL IMPERIAL
WIEN 25 IX 84

Pani Margarato!
Przesyłam stosowną pocztówkę.
Franciszek Józef równie dobre
jak wszystko inne służyć może
za pretekst do nawiązywania
kontaktu skoro taka piękna za
mną chodzi po Wiedniu.
Urban

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Ściąga dla nowego ministra nauki.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Z twarzy podobny do nikogo” – tak zareagowałam na przedstawienie przez Donalda Tuska nowego ministra nauki i szkolnictwa wyższego Dariusza Wieczorka. To przedstawiciel lewicy w rządzie, co dużo mówi i o lewicy, i o rządzie. Kiedy w 2020 r. resortem w rządzie Pinokia zaczął kierować inny magister, Wojciech Murdzek (pierwszy taki przypadek osoby kierującej szkolnictwem wyższym bez stopnia lub tytułu naukowego od czasów Władysława Gomułki!), był to – według „demokratycznej opozycji” – dowód na pisowską pogardę wobec środowisk akademickich. Sami z tego wyciągnijcie wniosek, czy pogarda demokratycznej większości ma inne oblicze od tej poprzedniego reżimu.

Policzek dla środowiska akademickiego

Zapewne czytając o tym po raz pierwszy, rzesza wykładowców poczuła, jakby dano jej w pysk. Ale po prawdzie było to ministerstwo, o które nikt się nie bił, bo w polskich warunkach jest marginalne, a jeden z najwyższych poziomów w świecie liczby osób z wyższym wykształceniem osiągnęliśmy kosztem kadry akademickiej i studentów.

Od dekad nakłady na badania i rozwój – zarówno publiczne, jak i biznesowe – w Polsce są na żenującym poziomie. Pojawienie się na stanowisku ministra nauki osoby, która wcześniej nie przejawiała tą sferą żadnego zainteresowania (Wieczorek zajmował się turystyką czy gospodarką morską, a jako poseł nigdy nie był w komisji sejmowej zajmującej się edukacją i nauką), nie powinno być zatem większym zaskoczeniem: ot, Czarzasty postanowił dopieścić lojalnego człowieka partii. O wadze tej nominacji i resortu dla nowego rządu niech świadczy fakt, że Donald Tusk zapomniał o nich w exposé.

Jedynym, co media podchwyciły w przypadku nowego szefa resortu, było to, że gra jako perkusista w zespole heavymetalowym Vinders.

Innymi słowy, Wieczorek, z wykształcenia elektryk po polibudzie i onegdaj działacz studencki, nie ma większego pojęcia o swej nowej robocie. Postanowiłam zatem, jako doktor habilitowana z kilkunastoletnim doświadczeniem roboty na uniwersytecie (z epizodami w prywatnych szkółkach grania w chuja i tarcia chrzanu), podrzucić mu ściągę, która pomoże mu zaaklimatyzować się w nowym dla niego środowisku. Odwołam się do czegoś, co nowy minister zna, czyli ukochanych przez niego piosenek.

Litościwie pominę teksty Vindersa, bo od fraz – jak ta poniższa z „Dies irae” – mogę dostać pomieszania zmysłów, a przynajmniej zajadów ze śmiania się do rozpuku:

„Rozpusta przemoc, narkotyki,
Podłe życie, bandyci, łajzy, politycy, nierządnice,
Z twojego ciała pozostała już padlina,
Przejrzyj na oczy, przecież właśnie się zaczyna”.

Choć bywa i jeszcze zabawniej, bardzo podniośle i zarazem absurdalnie:

„Każdy się boi jego czarnej zbroi,
Chwała królowi,
Zawsze nadchodzi, gdzie zło się rodzi,
Chwała królowi,
Broni dziewice, zabija smoki,
Chwała królowi,
Utula dzieci, chroni kobiety”.

Czy nowy minister nauki chce bronić dziewic, zabijać smoki, utulać dzieci i chronić kobiety? No, w czasach oskarżeń o molestowanie seksualne byśmy uważali z tymi dziewicami, a od dzieci też warto raczej się trzymać z dala – ze względów nadto oczywistych, aby o nich mówić. Jak wiadomo, dzieci są dobre, tylko się długo gotują. No i Ministerstwo Edukacji jest w innych rękach, bo odmówiono go przymierzanej do tego stanowiska Agnieszce Dziemianowicz-Bąk jako zbyt lewicowej.

Co mnie to wszystko obchodzi

Wieczorek przyznaje się do miłości do Perfectu. A zatem zacznijmy od tej legendy polskiego rocka lat 80. Choć w gruncie rzeczy jest to mocno dziaderskie, ale trudno. Zdecydowanie najbardziej w robocie nowemu ministrowi przyda się kawałek „Co mnie to wszystko obchodzi”. Bo powinien być świadomy, że po nomen omen czarnej epoce czasów superministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka trzeba skończyć z żenującym forowaniem nacjonalizmu i klerykalizmu.

Perfect wyśmiewa obsesję hurrapatriotyzmu, śpiewając „Szanuj prawo i flagi broń”. I dodaje:

„By nie zginął kraj, dzieci rób.
Dziadek w lesie Niemca bił.
Dostał wyrok, potem krzyż.
Gdy ojczyzna woła cię, wszystko rzuć.
A co mnie honor dziś obchodzi,
Jak walną, to nie piśnie mysz.
Zamiast w kamaszach w błocie brodzić
Trzeba się bawić i żyć”.

Warto też pamiętać, iż Wieczorek powinien zdawać sobie sprawę, że to nie świadomość kształtuje byt, lecz byt kształtuje świadomość. I sypnąć kasą na badania i rozwój, a także dofinansować dogorywające nauki społeczne i humanistykę. Niech mu przyświecają słowa „Co mnie to wszystko obchodzi”, gdy mu przyjdzie do głowy zbytnio sobą samym zajmować akademików i studentów, co czynił notorycznie Czarnek:

„Też mogę wodę z mózgu robić,
Przed kamerami pusząc się.
A co mnie wszystko to obchodzi.
Niech góra bierze się za łby.
Jak mi się uda kasę zrobić,
To wtedy mogą skoczyć mi”.

Prawdziwy buntownik?

Środowisko naukowe jest nękane rozlicznymi podziałami – według gałęzi wiedzy, stopni czy tytułu naukowego, większymi a mniejszymi ośrodkami akademickimi, że o masie innych nie wspomnę. Część z nich to podziały organiczne, wewnętrzne, ale nie brak podziałów odgórnie podsycanych, a nawet w ogóle kreowanych przez siły zewnętrzne. Nie jest to przypadkiem, wszak pielęgniarki są solidarne i skore do protestów – już dziś w szpitalach pielęgniarka z wyższym wykształceniem zarabia więcej niż profesor belwederski. Górnicy mają kilofy. Rolnicy mogą rozlać gnojówkę przed gmachem sejmu, a kierowcy ciężarówek zablokować granice i drogi.

A akademicy sami siebie mają za skończone łajzy niezdolne do działań w obronie swoich żywotnych interesów, nawet gdy od nich zależy ich życie zawodowe. I mają rację, co mówię na podstawie wieloletniego doświadczenia w środowisku.

Nowy szef resortu nauki i szkolnictwa wyższego mógłby wszystkich zaskoczyć i przyjąć postawę rebeliancką, pokazując, że może wznieść się ponad wszelkie podziały – w końcu jest osobą spoza kręgów akademickich. Niech mu świeci gwiazda kultowego kawałka skandynawskiej kapeli Accent „I’m a Rebel”, w końcu jest z nim tak jak z podmiotem lirycznym tego kawałka: wszyscy się z niego śmieją, też jest „tylko produktem tego popieprzonego świata” i też o nim mówią, że nie dotrze na szczyt wzgórza i nie zerwie owocu z drzewa.

Bóg nigdy nie był po twojej stronie

Poza sporem pozostaje, że Wieczorka czeka trudna misja. Na dzień dobry jego nominacja jest przyjęta jako pokazanie akademikom i studentom ich miejsca w szeregu.

I będzie musiał się nieźle napocić, aby dowieść swoimi czynami, że nie jest osobą głęboko mającą w tyle sprawy, którymi ma się zajmować. Nie czeka go czerwony dywan, rozścielany przez piejących z zachwytu ludzi nauki i szkolnictwa wyższego.

Niechaj ma w pamięci słowa z kawałka Motörhead „God Was Never On Your Side”:

„Bóg nigdy nie był po twojej stronie,
Niech dobro lub zło samo zadecyduje,
Bóg nigdy nie był po twojej stronie.
Zobacz dziesięć tysięcy ministerstw,
Zobacz święte, sprawiedliwe psy.
Twierdzą, że uzdrawiają, ale tylko kradną”.

As pik?

Jeśli Wieczorek zawiedzie – i tak niziutkie, bo społeczność akademicka tyle razy była robiona w ciula i pogardzana, że na zbyt wiele nie liczy – oczekiwania, to może przejść do historii jako grabarz marzeń o awansie dzięki wyższemu wykształceniu milionów młodych Polaków. I wtedy pożegnany będzie słowami legendy heavy metalu Judas Priest. Kapela ta śpiewa w kawałku „Breaking the Law”:

„Tyle o złotej przyszłości […].
Każda obietnica została złamana, w moim sercu jest gniew.
Nie wiesz, jak to jest, nie masz pojęcia.
Gdybyś wiedział, też robiłbyś to samo.
Łamiąc prawo”.

Jakby co, to Wieczorek może studzić wszelkie oczekiwania płacowe naukowców, przywołując znaną frazę „Niewiele ci mogę dać” Perfectu:

„Nie mogę ci wiele dać,
Nie mogę ci wiele dać,
Bo sam niewiele mam,
Nie mogę dać wiele ci,
Nie mogę dać wiele ci,
Przykro mi”.

Nowemu ministrowi, choć wydaje się, że nie jest szczególnie predestynowany do piastowania tego stanowiska, jak zresztą każdemu należy się na starcie kredyt zaufania. A nuż będzie – jak krzyczał Lemmy z Motörhead („Ace of Spades”) – asem pik, a może nawet jokerem? Tak czy inaczej, mamy nadzieję, że Wieczorek nie będzie walił w środowiska akademickie, wykładowców i studentów jak w bęben w zespole Vinders…

KATARZYNA KOENIG

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jest mężczyzna w Suwerennej Polsce, którego każde publiczne otwarcie ust powoduje wybuch śmiechu na widowni. To Jacek Ozdoba, poseł, były wiceminister klimatu i środowiska, minister bez teki w błyskawicznym rządzie Mateusza Morawieckiego.

Razem ze śmiesznością mężczyzny nazwiskiem Ozdoba współistnieje jego przemożna ochota do publicznych wystąpień – od udziału w programach radiowych i telewizyjnych do włażenia w kadr podczas konferencji prasowych urządzanych przez rywali politycznych.

Zatrzymajmy się przy śmieszności mężczyzny imieniem Jacek… Ostatnia niedziela, audycja w Radiu Zet, Ozdoba reprezentuje rząd i rządzącą mniejszość. W pewnym momencie mówi: „Platforma Obywatelska jest wybitna, jeśli chodzi o pewne zacieranie śladów czy też podejścia sądowe”. „Co ma na myśli?” – zastanawia się redaktor prowadzący audycji, ironicznie zauważając, że politycy Platformy mają tak gigantyczne możliwości zacierania śladów, że kontrolowane przez partie rządzące prokuratura i wszystkie służby nie były w stanie tego zauważyć. „Pan naprawdę nie obserwuje, w jaki sposób sądy podchodzą do Platformy Obywatelskiej? Przecież jak jesteś z PO, to sądy będą cię broniły jak niepodległości” – serio pyta i jednocześnie odpowiada Ozdoba.

Ozdoba, minister bez teki i mężczyzna bez rozumu.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Dwóch panów w sejmie (nie licząc Brauna)

Wyścigi premierów na exposé.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Gdybym w poniedziałek spadła z Księżyca i dane by mi było wysłuchać dwóch exposé, którymi w tym tygodniu uraczył nas sejm, z entuzjazmem poparłabym rząd Mateusza Morawieckiego. Donalda Tuska – nie tak bardzo.

Piszę o sejmie od 33 lat. I jak pragnę socjalizmu, w życiu nie słyszałam tak głęboko lewicowego wystąpienia ze strony żadnego szefa rządu, a było wśród nich czerech polityków SLD. Mateusz Morawiecki wygłosił credo pod każdy względem postępowe. Tyleż w zakresie społeczno-gospodarczym, co – w dużym stopniu – obyczajowym. Może niejakim zgrzytem w tym progresywnym tonie były egzaltowane deklaracje z gatunku „urząd to zaszczyt, Polska to miłość", ale wiemy nie od dziś, że w Polsce także lewica musi przemawiać językiem cokolwiek nacjonalistycznym, bo internacjonalizm się u nas, w wyniku złożonych czynników historycznych, nie przyjął.

Czasy się zmieniają

Usłyszeliśmy zatem o tym, że człowiek „ma prawo myśleć i wierzyć w to, co zechce", w czym zdaniem Mateusza Morawieckiego wyraża się „wolność wyboru". Usłyszeliśmy o tym, że ów człowiek jest wart tyle samo, niezależnie od tego, „jaką ścieżkę realizacji dla siebie wybierze". „Czy będzie to ścieżka życia rodzinnego, czy kariera zawodowa" – sprecyzował premier, co może sugerować, że podmiotem tego zdania był głównie człowiek będący kobietą; w Polsce faceci raczej rzadko wybierają życiowe stanowisko gosposia domowego.

Ale w odróżnieniu od swojego prezesa, a także swojego ministra edukacji Mateusz Morawiecki nie uważa, że jest to stanowisko właściwe kobietom. Wręcz przeciwnie: w jego wypowiedzi znać było pewną naganę pod adresem tych mężczyzn, którzy tak sądzą (czyli Kaczyńskiego i Czarnka): „Czasy się zmieniają. Widzimy, że nasze żony i nasze córki, i nasze wnuczki chcą dziś żyć zupełnie inaczej. I wszyscy panowie muszą to zrozumieć. Przed nami wyzwanie zmierzenia się z nowymi rolami i nowymi aspiracjami kobiet" – pouczył. I dodał: „I ja, i mężczyźni z mojego pokolenia wychowani byliśmy nieco inaczej niż dziś. W moim domu matkę zawsze całowało się w dłoń, to była oznaka wdzięczności i szacunku"… Tu sobie pomyślałam, że jednak ześlizguje się w konserwatywny patriarchalizm, ale nie. Wybrnął z tego z zaskakującą wprost zręcznością, a nawet, powiedziałabym, pewnym feministycznym żarem: „Ale prawda jest też taka, że starsze pokolenia często żyły w przekonaniu, że miejsce kobiety jest w domu. A miejsce kobiety jest i powinno być tam, gdzie ona sama je sobie wybierze".

Zgoda: internalizacja postaw feministycznych u posła Morawieckiego nie jest jeszcze pełna. Widać to było, gdy wspomniał o ojcach, którzy „wyjeżdżając za wypłatą, zostawiali żonę i dzieci na wiele miesięcy czy lat"; czy też o „naszych ojcach", którzy „zbyt dużą cenę ponosili, zbyt wiele pracy, walki, znoju, wybijania się na niepodległość"… „A gdzie matki?" – chciałoby się zapytać, ale nie czepiajmy się szczegółów, proces edukacji feministycznej nie odbywa się z niedzieli na poniedziałek. A postęp jest wyraźny.

Bankructwo neoliberalizmu

Ale lewicowość to wszak nie tylko kwestie obyczajowe. To także – a moim osobistym zdaniem przede wszystkim – model polityki społeczno-gospodarczej.

Z entuzjazmem wysłuchałam z ust chwilowego premiera polskiego rządu o bankructwie neoliberalizmu i o tym, że „liberalny model gospodarczy był nie tylko niesprawiedliwy, ale przede wszystkim nieefektywny i nieracjonalny". A co więcej, aby zilustrować tę prawdę, Mateusz Morawiecki nie sięgnął do nauki społecznej Karola Wojtyły, tylko do pism Michała Kaleckiego, którego nazwał „chyba najwybitniejszym polskim ekonomistą".

Tu, być może, niektórzy lewicowcy zechcieliby nieco popolemizować – silną konkurencją byłby Oskar Lange, a także Róża Luxemburg – ale nie kłóćmy się o miejsce na podium. Michał Kalecki był absolutnie wybitnym uczonym porównywanym – i pracującym równolegle, acz niezależnie – z Johnem Maynardem Keynesem. Pisał o kluczowej roli państwa w stabilizacji cyklu koniunkturalnego, promował pełne zatrudnienie, poszukiwał polityki gospodarczej, która zapewni partycypację wszystkim klasom społecznym. Morawiecki cytuje zdanie Kaleckiego, pod którym całym sercem podpisze się każdy człowiek lewicy na świecie: „Argumentacja na rzecz zajęcia się deficytem budżetowym stała się przygrywką ataku na płace i świadczenia, a oszczędność to tylko kryptonim przekazywania bogactwa i władzy w ręce coraz mniejszej liczby ludzi".

Lżej pracować, lepiej żyć

Dalej Morawiecki mówił o pracy w sposób, w jaki socjaliści mówią o niej od 200 lat, kiedy to walijski reformator Robert Owen opracował zasadę: osiem godzin pracy, osiem godzin wypoczynku i osiem godzin snu. „W pracy nie może chodzić tylko o to, żeby przeżyć od pierwszego do pierwszego, chodzi o to, żeby pracować nie po to, żeby przeżyć, ale żeby żyć pełnią życia i realizować swoje marzenia. Nie da się zadekretować *work-life balance*, ale trzeba stworzyć warunki, w których pracownicy są godnie traktowani, a ich wolny czas jest szanowany" – mówił.

I to nie koniec. Premier prawicowego rządu jest orędownikiem „rozwoju takich instytucji jak chociażby powszechny, choć w moim odczuciu warunkowy, dochód podstawowy". Bliżej nie wiemy, co premier miał na myśli, bo warunkowość niejako zaprzecza samej istocie instytucji dochodu podstawowego, czyli wystarczającej na życie kwoty wypłacanej każdemu obywatelowi przez państwo, ale jego diagnoza jest trafna: „Jutro należy do świata, w którym praca być może nie będzie konieczna. Będziemy musieli na nowo przemyśleć relacje rynku pracy. Polacy chcą pracować lżej, lepiej żyć. Ale my musimy myśleć jeszcze dalej: jak dobrze żyć w świecie, w którym już nie będzie za wiele pracy – takiej, jak rozumiemy ją dziś". Warto przy tym zauważyć, że opowieść ta zawiera jakieś systemowe rozważanie nad wizją przyszłości, co wśród polskich polityków nie jest wszak zbyt częste.

Największa armia w Europie

Na koniec zaprezentował swoją wizję Polski w Europie. I w tym celu posłużył się cytatem – o zgrozo – z Gombrowicza: „Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim, póki nie wyodrębnimy się z Europy, gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym, aby być jej częścią składową – specyficzną i niedającą się niczym zastąpić". W 2007 r. to pisowski rząd (choć, trzeba przyznać, z Romanem Giertychem w roli ministra edukacji) wyrzucał Gombrowicza z lektur, uważając, że pedał i bezbożnik nie powinien zatruwać młodych umysłów. Dziś pisowski premier uznaje ten dziwaczny, bezwzględnie krytyczny i totalnie niepobożny koncept polskości za godny zacytowania w swoim pożegnalnym wystąpieniu.

W zasadzie jedynym elementem gospodarczej opowieści Morawieckiego, z którym głęboko się nie zgadzam – z lewackich pozycji – była chłopięca radość związana z wydawaniem 4 proc. PKB na wojsko i posiadaniem największej lądowej armii w Europie. „Wywalczyliśmy w Radzie Unii Europejskiej" – chwalił się – że „wydatki materiałowe na uzbrojenie, na armię polską nie będą zaliczane, w przypadku wyliczeń związanych z procedurą nadmiernego deficytu, do deficytu budżetowego. Nasze wydatki na wojsko już teraz sięgają ok. 4 proc. PKB. Wynika z tego, że gdyby odjąć je od naszego deficytu budżetowego, to byłby on mniejszy niż 1 proc., nieco powyżej zera".

No ale nie można ich odjąć, prawda? Pieniądze na wojsko nie spadają z nieba, gdzie osobiście drukuje je Bóg uszczęśliwiony faktem, że Polacy nie skąpią na obronę honoru i ojczyzny. 118 mld zł, które w przyszłym roku będzie polskich podatników kosztować bojowy szał elit, to np. 70 proc. budżetu NFZ. Z drugiej wszakże strony lewica tak w Polsce, jak i w Europie na odcinku pacyfizmu zdezerterowała na całej linii, ulegając militarystycznemu szaleństwu. Czemu zatem rozsądek w tej sprawie miałby zachować akurat premier nacjonalistycznego rządu?

Rewolucja wkurwienia

Dzień później swoje exposé wygłosił Donald Tusk. Który od Morawieckiego różni się tym, że będzie premierem – ale ma z nim też coś wspólnego, a mianowicie to, że już nim był. Dlatego – przy założeniu, że jednak nie spadliśmy z Księżyca w ostatni poniedziałek – możemy oceniać wiarygodność Tuska na tej samej podstawie, na której oceniamy Morawieckiego. Osobiście ani jednej, ani drugiej nie oceniam zbyt wysoko. Przez osiem ostatnich lat pisałam i mówiłam o tym, że to rządy Tuska – ich neoliberalna, bezwzględna socjalnie polityka, współistniejąca z bezrozumną propagandą sukcesu i całkowitym brakiem słuchu społecznego – utorowały drogę PiS.

To, co PiS nazywał górnolotnie rewolucją godności, było w istocie rzeczy rewolucją wkurwienia: w 2015 r. Polacy zagłosowali nie na obietnicę 500+ – w którą nikt tak naprawdę nie wierzył – tylko przeciwko władzy, która robiła ich w wała i jeszcze domagała się wdzięczności dla „bohaterów naszej wolności". Jednak miałam nadzieję, że Tusk i jego formacja, a także inne „partie demokratyczne" wyciągnęły wnioski z triumfalnego pochodu PiS przez kolejne wybory i polityka nowej koalicji będzie inna.

Czy będzie, nie wiadomo. Albowiem w exposé Donalda Tuska nie usłyszeliśmy w zasadzie nic o tym, jak będzie rządzić tym razem. Donald Tusk swoje dwugodzinne wystąpienie poświęcił głównie na mówienie o PiS-ie. Wyglądało na to, że nowy premier, któremu sejm kilkanaście godzin wcześniej powierzył zadanie sformowania gabinetu, tak naprawdę nie zauważył, że kampania się skończyła.

Manifest szarego premiera

Na początku Tusk odczytał – w całości – list Piotra Szczęsnego, który 19 października 2017 r. na pl. Defilad dokonał aktu samospalenia w proteście przeciwko rządom PiS. Oświadczenie Szczęsnego, któremu tragizmu przydała jego śmierć, Tusk przedstawił jako „tekst, który mógłby zastąpić moje exposé", po czym w istocie rzeczy je zastąpił. Opowieści o tym, jak podłe były rządy PiS, nowy premier przeplatał obietnicami rozliczeń i wezwaniami do pojednania. To wszystko spointował wzruszającą deklaracją, że „jesteśmy w polskim sejmie, w polskim senacie, żeby się spierać", albowiem chodzi o to, żeby toczyć „wojnę na górze" i przez to „uchronić własny naród, własne rodziny, Polki i Polaków, od takiej nieustannej wojny politycznej tam na dole, wśród zwykłych ludzi". Mam poważne podejrzenie, że Donald Tusk nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak protekcjonalnie to zabrzmiało.

Tusk zaczął mówić o godzinie 10.20. Pierwszy komunikat dotyczący jakiegokolwiek punktu programu nowego rządu padł o 10.49 i brzmiał on: „Polska będzie lojalnym i stabilnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych". Myślę sobie, że ta niemała część elektoratu koalicji 15 października (to teraz, dekretem Tuska, oficjalna nazwa nowej koalicji rządzącej), która głosowała, kierując się kwestiami międzynarodowymi, nie miała na myśli strzelistej deklaracji miłości do USA, do których skądinąd wszystkie kolejne rządy III RP łasiły się w równym stopniu. Jeśli chodzi o stosunki europejskie, Donald Tusk zapewnił, iż „nikt go w Unii Europejskiej nie ogra", co wydało mi się, powiem szczerze, dość dziwacznym rozłożeniem akcentów. Dotychczas nie sądziłam, że Platforma Obywatelska i jej przewodniczący postrzegają Unię jako podstępnego przeciwnika, przed którym musi nas bronić Ameryka.

Kocham Polskę bez pamięci

Ponadto w swoim starannie pozbawionym akcentów programowych „przedstawieniu programu działania rady ministrów" Tusk zdążył – obok Piotra Szczęsnego – wspomnieć Pawła Adamowicza, a także, w odróżnieniu od Mateusza Morawieckiego, powołał się na dziedzictwo Jana Pawła II. „Kocham Polskę bez pamięci" – wyznał i dodał, że nie rozumie, dlaczego ktoś się w tym momencie drwiąco uśmiecha, bo przecież, jak mówił Jan Paweł II, „nie ma solidarności bez miłości".

Mniej więcej po godzinie opowieści o tym, że PiS jest zły, a my dobrzy, pojawiły się jakieś urywki zapowiedzi programowych: podwyżki dla nauczycieli i budżetówki, druga rewaloryzacja rent i emerytur, nieszczęsne babciowe, a wszystko podbite zapewnieniem, że „nasza możliwie szczodra i hojna polityka" nie będzie „w żaden sposób zagrażała stabilności finansowej państwa". W jaki sposób rząd zamierza to osiągnąć, nie zostało wyjaśnione. Po dwóch godzinach kazania premier zakończył informacją, iż „to jego nietypowe exposé" wynika z faktu, że „bardzo zależało mu na tempie".

Uczciwie powiedziawszy, po uważnym wysłuchaniu Donalda Tuska nie mam czerwonego pojęcia, co zrobi jego rząd. Być może dowiedzielibyśmy się tego w wyniku pytań i odpowiedzi, ale po szaleńczym wybryku posła Brauna, który zgasił gaśnicą proszkową świece chanukowe w holu sejmu, posłowie koalicji 15 października w geście wzniosłego oburzenia zrezygnowali z zadawania pytań. Na pytania posłów PiS premier obiecał odpowiedzieć kiedyś pisemnie. Ale nie ma się czym martwić, albowiem – jak zręcznie ujął to nowy premier – „wy znacie program nowego rządu, ten program pisali Polacy".

Bardzo bym chciała w to wierzyć. Bardzo chciałabym wierzyć, że

lewica będzie w tym gabinecie swoistą społeczną kotwicą pilnującą, żeby rządu znowu nie zniosło na neoliberalny kurs, który już dwa razy – w 2005 i w 2015 r. – przyczynił się do zwycięstwa PiS.

Kolejnego rządu PiS polska demokracja może nie przetrzymać.

Nawet gdyby na jego czele stanął szczery, postępowy lewicowiec Mateusz Morawiecki.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl a3aa8fdd3e

PLURALIS MAIESTATIS

Z pustego w próżne

Sejm przegłosował finansowanie zabiegów in vitro z budżetu. Co poniektórym skreśla to tzw. alibi. Alibi na wolność. Teraz można powiedzieć, że próbuje się mieć dzieci i próbuje, a nic nie wychodzi! A tu człowiek goły – no, przecież chciałby, a nie ma! Z pustego w próżne nie naleje. Nie ma forsy, nie ma przychówku. Całkiem to niesprawiedliwe i… całkiem rozsądne. Wszakże rodzicielstwo nie zaczyna się na poczęciu i nie kończy na rozwiązaniu. Tak czy siak, gdyby projekt in vitro znalazł pozytywną kontynuację w ramach NFZ, to trudniej byłoby się zasłonić bezpłodnością jak cnotą, biedą jak diafragmą i rżnąć głupa. Trzeba by się określić jako bezwstydna bezdzietnica.

Rzecz jasna alibi niedzieciatych ruchaczy, którzy nie chcą bulić społecznego bykowego, działa tylko dlatego, że większość ludzi jakoś nie przyjęła do wiadomości, że procedura in vitro jest częściowo refundowana z programów polityki zdrowotnej. „Niektóre miasta, gminy, a także województwa zdecydowały się pomóc swoim mieszkańcom w staraniach o upragnione dziecko, wprowadzając samorządowe programy dofinansowania do leczenia za pomocą in vitro. Tego rodzaju wsparcie sprawia, że nowoczesne metody leczenia niepłodności są bardziej dostępne dla par” – stoi jak wół choćby na witrynie kliniki Bocian. Oczywiście, że mówimy tu tylko o pieniądzach rzędu 5000–6000 zł. Ale wspominam o tym, żeby pokazać, że nie żyjemy, akurat w tej kwestii, na całkowitej pustyni.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Martwiłabym się decyzją sejmu, ale gdzieś tam na ustawę dotyczącą finansowania in vitro czeka jeszcze jałowy długopis prezydenta Dudy. „Oczywiście to rozważę” – rzekł Długopis. Jasne jak słodkie bliźnięta i rozstępy skórne w pakiecie. Zdecydowanie wolałabym, żeby budżet zajął się refundowaniem procedur oraz leków onkologicznych. Rak nie ciąża – trudniej i zapobiec, i usunąć. W Polsce w dodatku umiera się na nowotwory, które w zachodniej Europie się leczy. Mieć 65+ i zachorować – generalnie przerąbane. Osobisty diabełek mi podpowiada: sfinansować z budżetu eutanazję seniorów i po kłopocie! Tylko dopiszemy do tego coś wolnościowego. Nie? To może… bo ja wiem? Jednak realnie dostępne bezpłatne znieczulenie przy porodzie dla każdej kobiety? Podobno nie pamięta się bólu rodzenia i rodzenia się, ale gdyby tak jedna z drugą, jedno z drugim tak w komforcie? Realnie dostępne znieczulenie, czyli wycenione na więcej niż 500 zł, bo tyle płaci NFZ, i to od 2015 roku. Kto by się pierdolił z panią cokolwiek sztywną za pięć setek?! W rezultacie 86 proc. kobiet w Polsce rodzi w bólu (dane na sierpień 2023). Przecież dopiero co rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek wysmażył pismo do Ministerstwa Zdrowia, w którym zaznaczył: „Prawo pacjenta do łagodzenia bólu jest bowiem nierozerwalnie związane z jego poczuciem godności jako człowieka. Z kolei o spełnieniu prawa do świadczeń zdrowotnych odpowiadających wymaganiom aktualnej wiedzy medycznej można mówić wtedy, gdy pacjent ma realną możliwość skorzystania z nowoczesnego, uznanego przez naukę i praktykowanego świadczenia zdrowotnego. Dodajmy, że zgodnie z rozporządzeniem Ministra Zdrowia […] rodząca ma prawo do łagodzenia bólu porodowego”. Zwrot za in vitro, rodzenie na żywca? Jak to się dzieje, że te laski w ogóle rodzą? No tak, nie da się krzyżować nóg w nieskończoność. I co, hmm, weszło, musi wyjść. Faktycznie być kobietą w Polsce to jeden z powodów, aby prędko zostać mężczyzną albo choć transwestytką.

A może inaczej… Z dołu do góry – budżet by się dołożył do leczenia zębów, tych dalej położonych od siekaczy. A może i na psychiatrę, psychologa dziecku, matce, ba, ojcu dołożył? Nie! In vitro! Jak dobrze, że jest długopis Dudy, skoro posłowie nie mają kalkulatorów nawet w smartfonach. I chyba się nie domyślają, że oprócz odpowiedzialności za własne media społecznościowe mają też odpowiedzialność za państwo, a państwo to też budżet. O ile nie przede wszystkim! Polski nie stać na takie „ośmiorniczki” jak in vitro.

Pominę drobny fakt, że każde dziecko urodzone w 2024 r., a spłodzone w dowolny sposób, będzie trzydziestolatkiem w mocno nieprzyjemnych czasach, a seniorem – w okresie galopującej katastrofy klimatycznej. Oj, niedobrze, niedobrze, nie warto, nie warto nawet robić tego dziecku, czyli robić go. Tylko pozostając bezdzietnym, nie zachowasz się jak świnia wobec własnego potomka… Jakkolwiek parszywie to brzmi.

Tak się zastanawiam, czy cały ten sejm, ten nasz sejm, będzie non stop głosował ideologicznie? Czy im wkrótce przejdzie? Bo jednak w niższej izbie w cholerę świeżaków jest… Ideologia to tylko kwiatuszek do ustaw, jak i kwiatuszek do władzy, drogi przyszły rządzie! Dalej tym tropem: źle dobrany krawat zepsuje cały strój, ale kiedy rozkoszujemy się dobrze uszytym garniturem, który nie obciera jąder, to nie będziemy zajmować się małym rzygiem estetycznym, bo ten jeszcze nikogo nie zabił… Naprawdę boję się, że jeśli koronnym argumentem stanie się teraz rządzenie bądź głosowanie wyłącznie „przeciwko PiS”, a nie działanie mające na celu porządkowanie finansowo-organizacyjnej stajni Augiasza, czyli Polski, to cóż, oni wrócą – tuptusiem na karłowatej Kasztance… I to nie dlatego, że ich zwolennicy zostaną tak bardzo poranieni na duszy, że postanowią się nam odwinąć. Wierzę w michę, nie w duszę – nie stać Polski na wywalanie kasy na rzeczy inne od tych absolutnie niezbędnych. Ci lepsi i ci gorsi obywatele też to wiedzą, a jeśli o tym milczą, to dlatego, że również posiadają, no, te, te… media społecznościowe.

IZABELA SZOLC

Sejmowe

czyli idol na gorącym krześle

„Polscy chłopcy mają w sobie za mało luzu” – ten cytat z kultowej komedii „Chłopaki nie płaczą” Olafa Lubaszenki zna dziś w Polsce każdy szanujący się 40-latek. I każdy, kto nie połknął za młodu bambusowego kija ani nie poszedł za wcześnie do seminarium, bez skrępowania się pod nim podpisze.

700 tys. widzów na YouTubie jednego dnia. Prawie pół miliona subskrybentów. To jest wynik! Dziś muzykę mierzy się właśnie m.in. tą skalą. Nie liczbą egzemplarzy sprzedanych płyt, cytowań albo sprzedanych koncertów, choć to ma jeszcze jakiś sens, ale właśnie tym, ile osób śledzi cię w sieci i poświęca swój drogocenny czas na zapoznanie się z twoją twórczością. 700 tys. widzów naraz to konkret. Porównywalny z zasięgami, które osiągają dziś u nas gwiazdy i gwiazdki popu oraz rodzimego rapu. Taki wynik wykręcił w Polsce Szymon Hołownia i jego sejm tivi. Tyle osób od czasu jego marszałkowania śledzi na YouTubie parlament pod jego kierownictwem.

Jak oni gadają

Co bardziej konserwatywni politycy i komentatorzy zżymają się, że to nie przystoi. Że sejm za Hołowni stał się kabaretem, po który sięga znudzony telewizyjną szmirą co mniej wyrobiony widz. Tak jakby wcześniej sejm nie był ramotą, której pies z kulawą nogą nawet nie chciał trącać. Moja koleżanka opowiadała mi, że w połowie lat 90. jej babka, która opiekowała się nią pod nieobecność rodziców, włączała jej obrady sejmu w telewizji za karę, kiedy ta była niegrzeczna.

Za Hołowni jest przynajmniej zabawnie. I w końcu może polscy chłopcy zyskają wreszcie trochę luzu. Luz w polityce jest niezbędny, żeby nie pękła żyłka. Zarówno temu, kto politykę uprawia, jak i temu, kto się nią interesuje hobbystycznie. Luz w polityce jest potrzebny, żeby o sprawach trudnych mówić prostym językiem – bez zadęcia i pompy. Kto w sprawach trudnych używa jeszcze trudniejszego języka, najczęściej nie ma o nich pojęcia, a branżowym dyskursem klajstruje braki w kompetencjach. Luz determinuje dystans do samego siebie i do świata naokoło. Dystans z kolei jest niezbędnym warunkiem pojmowania i dekodowania ironii. Ironii nieistniejącej bez autoironii. I koło się zamyka.

Masz talent?

Szymon Hołownia przyniósł do sejmu przyrodzony luz, który ma każdy, kto stara się być normalnym człowiekiem niezależnie od miejsca, jakie w danym momencie wyznaczył mu los.

Pokazał ludziom, że w polityce jest miejsce na sarkazm, na humor, na ten od wieków nieobecny w polskim parlamentaryzmie dystans. Człowiek może się nie zgadzać z drugim, ale nie musi być przy tym troglodytą.

Jeśli ma IQ większe niż 70, musi go używać stosownie do własnego poziomu i charakteru, a nie krygować się na mumię, którą równie dobrze mógłby zastąpić białkowy interfejs. Hołownia to

Rys. WIDGET

ETYKA BEZBOŻNA

Dobre serce, ale głupie?

Jakoś trochę niespodziewanie przyszła zima. Zaskoczyła nas niczym drogowców za komuny. Umówiliśmy się przecież, że tytułem odszkodowania za nieszczęścia związane z globalnym ociepleniem będziemy mieli zimy bardzo łagodne, a lata ciepłe i pełne słońca. Te wszystkie huragany i powodzie powinny zaś mieć miejsce w krajach, które i tak są biedne, a poza tym nie oddały się pod opiekę Najświętszej Panienki (a przeto same sobie są winne). Ale ja dziś nie tyle o tej katastrofie klimatycznej, co to ma być, byle nie u nas, ile o zimie właśnie.

Gdy przychodzi zima, ludzie o dobrych sercach rzucają się z chlebem na ptaki. Z zapamiętaniem sieją po ubitym śniegu okruchy, rozrzucają po parkach rwane na kawały bochny, pławią suche kromki w przeręblach, a na drzewach wieszają karmiki. Mniejsza o to, że chleb akurat ptakom szkodzi. Lepszy chleb niż głodowa ptasia śmierć. Sprawa dotyczy nie walorów odżywczych tego czy innego menu dla zwierząt, lecz wielkiego konfliktu w sposób zasadniczy kształtującego naszą moralność. Konfliktu pomiędzy odruchami serca a respektem dla tzw. naturalnego porządku rzeczy.

Zwolennicy nieczułości wobec zwierząt i powściągania nierozumnych sentymentów powołują się na samoistną wartość porządku natury, która wie, co robi. Nie należy dokarmiać łabędzi ani pomagać bezdomnym kotom, bo to osłabia mechanizm doboru naturalnego, a w konsekwencji szkodzi dobrostanowi genetycznemu danej populacji zwierząt. Słabe osobniki muszą ginąć, a przetrwać powinny najsilniejsze i najbardziej odporne.

Jest w tym stanowisku jakaś niepokojąca metafizyczna egzaltacja. Jakaś fascynacja wyobrażeniem potężnej i wszechwładnej istoty zwanej Naturą. To jak gdyby cała przyroda rzeczywiście była w całości wielkim ciałem wielkiego Ducha, który rządzi wszystkimi górami, lasami, niebem i ziemią, roślinami, zwierzętami i ludźmi. Ma on niby swoje zamiary i zasady, a przeszkadzanie mu jest bluźnierstwem oraz szaleństwem. Szaleństwem, bo praw Natury nikt nie pokona. Każdy im podlega, czy mu się to podoba, czy nie. Przeto mądrze i etycznie jest się tym prawom podporządkować. Ptaki i koty mają zimą ginąć!

Dopóki ta „religia Natury” odnosi się do zwierząt, można by jeszcze jej bronić. Pozostawianie przyrody samej sobie ma pewne uzasadnienie. Słabnie ono wprawdzie w odniesieniu do tej części przyrody, która, jak te koty i psy, popadła w kompletną zależność od człowieka, niemniej stanowisko niedokarmiających zasługuje na uszanowanie. Masz taki pogląd – nie dokarmiaj. Ja mam inny, więc dokarmiam. Różnimy się i szanujemy mimo tych różnic. Tolerancja to ważny aspekt publicznej moralności. Sprawa przedstawia się jednakże znacznie gorzej, gdy ten naturalizm i wynikającą z niego nieczułość zastosować do ludzi. Nikt otwarcie nie powie dziś, że nędzarzom stłoczonym w slumsach nie należy pomagać, bo będą się dalej mnożyć. Ale w XVIII w. twórca demografii i ksiądz anglikański Thomas Malthus tak właśnie uważał. Takie skrajnie nieempatyczne stanowisko, podszyte wstrętem i lękiem przed ludźmi biednymi, stało się podglebiem dla rasizmu i faszyzmu kolejnych stuleci. Nie możemy powiedzieć, że jak ktoś nie chce dokarmiać kotów, to jest faszystą, jakkolwiek z pewnością parareligijny kult Natury i jej świętych praw bardzo sprzyja powściąganiu odruchów serca zarówno w stosunku do zwierząt, jak i ludzi i jest mocnym fundamentem groźnych ideologii.

Kurtuazja wobec wyznawców Natury zafascynowanych jej okrutnymi prawami nie oznacza, że się z nimi zgadzam. Wręcz przeciwnie. Opowiadanie o Naturze niewiele dla mnie się różni od snucia bajek o Bogu czy Allahu, który stworzył świat i narzucił mu swe prawa. Są to w gruncie rzeczy bliźniacze legendy. Ja potrzebującym pomagam, nawet gdy są zwierzętami. A może nawet zwłaszcza wtedy, bo będąc mniej inteligentnymi ode mnie, są w gorszej sytuacji. Moje zaś przewagi nad zwierzętami nie dają mi prawa do ignorowania ich cierpień i potrzeb, wręcz przeciwnie. Dlatego karmię głodnych i okrywam zziębniętych. I ludzi, i zwierzęta. A ile w tym uczuć („serca”), ile zaś poczucia obowiązku, to inna rzecz. U każdego to jest w nieco innych, indywidualnie zmiennych proporcjach przemieszane.

W pomaganiu zwierzętom (a ludziom nie inaczej) tkwi jednakże pewna słabość. Współczujemy tym istotom, których cierpienie widzimy, a wobec pozostałych, cierpiących nawet bardziej, pozostajemy nieczuli. Karmimy tego tu kotka, przygarniamy tego tu biednego pieska, a pozostałe, których akurat nie widzimy, wcale nas nie obchodzą. To prawda, ale nie należy z tego wyciągać wniosku, że i ten jeden, którego cierpienie widzimy, powinien wedle sprawiedliwości być przez nas traktowany obojętnie, czyli tak jak pozostałe. Wręcz przeciwnie: skoro litujemy się nad cierpiącym bezdomnym pieskiem w środku zimy, to znaczy, że pewnie zlitowalibyśmy się również nad innym, którego teraz wprawdzie nie widzimy i jest dla nas tylko anonimowym innym psem, lecz gdybyśmy go ujrzeli, to stałby się dla nas ważny. Czy się to komu podoba, czy nie, świat istnieje dzięki dobroci, a nie dzięki wyrachowaniu.

JAN HARTMAN

eprasa.pl a3aa8fdd3e

rewolucje

Rys. WIDGET

robi. Do tego robi to dobrze, bo się na tym jako showman zna. Czy można wściekać się na szewca za to, że szyje dobre buty?

Czy Szymon Hołownia jest w swojej robocie prawdziwy? Moim zdaniem tak. Ten facet tak po prostu ma. To człowiek, który zjednuje z natury. Choć druga jego natura, o której wiemy mniej, a o której mówili choćby działacze wyrzuceni z jego ugrupowania, jest zgoła odmienna. Prędzej czy później przyjdzie taki moment, że będzie zmuszony pokazać tę drugą, gorszą, mniej przyjazną buzię. Nie wiem tylko, czy pan marszałek zdaje sobie sprawę, że dzisiejsze lajki i słupki oglądalności w końcu wyhamują. Efekt nowości mija bowiem dość szybko, zwłaszcza gdy po miesiącu rozruchu i względnie bezpiecznego i lajtowego marszałkowania zacznie się prawdziwa rzeź. A PiS zrobi wszystko, żeby jako opozycja zafundować Hołowni, Tuskowi i ich ekipom prawdziwą jesień średniowiecza. Wtedy nie będzie miejsca na śmieszki, heheszki, łapki, lajki i suby. Ktoś powie: „sprawdzam" i trzeba będzie brutalnie ciąć po skrzydłach. Odmrozi się sejmowa zamrażarka. A kluczyk do zamrażarki spoczywa w biurku Hołowni. „Chcecie być tacy jak oni?" – zapytał w serialu „Czterej pancerni i pies" Olgierd Gustlika i Janka, kiedy zamierzali zabić folksdojcza. No właśnie, czy marszałek zechce być taki jak oni?

Idol?

Szymon Hołownia i jego ludzie nie kryją, że jego marszałkowanie obliczone jest na wygraną za dwa lata prezydenturę. Mają swój plan i go realizują. Ale idę o zakład, że za pół roku, może nawet szybciej, sam Tusk zacznie wodzić Hołownię na pokuszenie i wystawiać go na ciężkie próby lojalności, w których zwycięzcą będzie on sam. Czyli Tusk. Bo wbrew temu, do czego przyzwyczajana jest opinia publiczna, nigdzie nie jest zapisane, że kandydatem na prezydenta z ramienia Platformy będzie Rafał Trzaskowski.

Poza tym wszystkim, gdyby się przyjrzeć Hołowni i Trzaskowskiemu, znajdziemy u obu dużo więcej podobieństw niż różnic. Nawet fizycznie, metrykalnie, osobowościowo obydwaj panowie są bardzo sobie bliscy. Taki wybór nie jest ani łatwy, ani prosty, a z punktu widzenia lidera partyjnego, którym pozostaje Tusk – pożądany. W starciu jeden na jednego zawsze należy akcentować różnice, a w przypadku potencjalnego starcia Trzaskowskiego z Hołownią w drugiej turze ten pierwszy zawsze będzie tylko prezydentem Warszawy. Tęczowym, liberalnym, z dobrego domu, sytym i bogatym.

Tusk zechce przeczołgać Hołownię. Już dziś dobrze widzi, że zagrożenie z jego strony nie jest iluzoryczne, quasi-medialne, ale zupełnie realne. Zechce to zrobić, żeby finalnie samemu stanąć do pojedynku o prezydenturę.

Dlatego właśnie to Hołownia, a nie Tusk będzie tym, na kogo spadać będą raz za razem haki i sierpy za nieudolną politykę rządu. Przecież gdyby tylko chciał, mógł wziąć fotel wicepremiera, ale wolał bezpieczny marszałkowski stolec, który dzięki Tuskowi będzie dla niego bardzo gorącym krzesłem.

Kuchnia od kuchni

Z Szymonem Hołownią jest trochę jak z Magdą Gessler. Niespecjalnie się człowiek doń przekonuje, ale oglądać lubi. I ona, i on mają też inną wspólną cechę. Magda Gessler dzięki swoim programom wyostrzyła w ludziach krytyczne spojrzenie na to, co, jak i gdzie jedzą.

Jeszcze dekadę temu gdzieś między Piłą a Olkuszem rzadko kiedy można było zjeść coś dobrego. Ludzie dostawali byle co. Płacili. Napełniali kałduny i bez słowa opuszczali lokal. Dziś jest inaczej. To, co człowiek dostaje na talerzu, jest lepsze, smaczniejsze i zdrowsze. Nie jest już rzadkością, kiedy klient zapyta o to, z czego zrobiono kotlet albo jak doprawiono zupę. Dużo częściej też klienci grymaszą i utyskują. Kiedyś – nie do pomyślenia. Dziś – norma. Można to wszystko zgonić na ich roszczeniowy nowobogacki mental, ale coś mi się zdaje, że ludzie dzięki Gessler i jej rewolucjom zaczęli zaglądać do kuchni od kuchni, dzięki czemu ich świadomość konsumencka tylko zyskała.

Podobnie jest z Hołownią. Dzięki temu, że przybliżył i uczłowieczył maluczkim obrady sejmu, naród zaczął chętniej nań patrzeć, zmuszając posłów i senatorów do wysiłku. Nieważne, czy pozorowanego, czy realnego. Ważne, że jest ruch. Ruch w interesie. To już bardzo dużo.

JAREK WAŻNY

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ 71-letni mieszkaniec Lublina zainwestował prawdziwe 3 mln zł w fałszywe pieniądze zwane kolokwialnie kryptowalutami. Najwyraźniej nie znał zasady: „Matka bije dzieci nie za to, że grają, a za to, że chcą się odgrywać". Emeryt chciał się odegrać. Za odzyskanie straconych pieniędzy zapłacił kancelarii adwokackiej 800 tys. zł. Kancelaria też okazała się fałszywa. Poszedł zatem na prawdziwą policję, która po ojcowsku pouczyła go, że powinien być rozważniejszy w inwestycjach, ale faktycznie nic nie może w sprawie zrobić.

▮ Rada Warszawy przyjęła głupią uchwałę o wprowadzeniu strefy czystego transportu w centrum miasta, która oznacza, że takie wieśniaki jak ja będą tam jeździć tylko na rowerach lub wcale. Radna Monika Jaruzelska była przeciwko temu nieludzkiemu barbarzyństwu.

▮ Policja z Oświęcimia zatrzymała 12-letniego mieszkańca miasta, który w krótkich gaciach, klapkach założonych na bose stopy i T-shircie prowadził hulajnogę. Nie jest to nielegalne. Organa ścigania uznały jednak, że ubiór dziecka, a w zasadzie jego brak, zagraża życiu i zdrowiu małoletniego w obecnych warunkach atmosferycznych.

▮ Remake „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną" został nakręcony rejestratorem samochodowym przez kierowcę z Mławy. Na filmie widać, jak dwóch ludzi atakuje mitsubishi pajero. Jeden uzbrojony jest w siekierę. Drugi w spalinową piłę łańcuchową pracującą na pełnym gazie. Policja z Działdowa, obejrzawszy nagranie, znalazła odtwórców głównych ról. Okazali się nimi około trzydziestoletni mieszkańcy gminy Lidzbark. W nagrodę za wysoki poziom realizmu aktorzy pozostają na wolności za poręczeniem majątkowym.

▮ Naukowcy z Politechniki Krakowskiej opracowali nową legalną metodę usuwania mefedronu z organizmu. Nie opracowali niestety legalnej metody wprowadzania tego narkotyku, który od 13 lat jest w Polsce substancją zakazaną nawet w celach medycznych. Sukces nowej metody, zdaniem uczonych, polega na „wykorzystaniu sieci metaloorganicznych składających się z jonów metali, które połączone są ze sobą przez organiczne ligandy, tworząc strukturę krystaliczną". Naszym zdaniem przyczyną porażek polskiej nauki jest przedstawianie jej sukcesów w sposób bełkotliwy, przemądrzały i quasi-profesjonalny.

▮ Krzysztof G., będąc policjantem, w 2017 r. odbył stosunek seksualny w toalecie Komendy Powiatowej Policji w Brodnicy z zatrzymaną bez jej jednoznacznej zgody. W innych okolicznościach nakazał dwóm innym zatrzymanym zrobienie sobie laski. Obecnie został skazany przez wysoki miejscowy sąd rejonowy na 10 lat więzienia. Otrzymał również 15-letni zakaz pracy w charakterze policjanta wymuszającego obciąganie.

▮ Doświadczony funkcjonariusz z 20-letnim stażem strzelał ostrą amunicją przez okno II Komisariatu Policji w Radomiu. Justyna Jaśkiewicz z Komendy Miejskiej Policji w Radomiu wyjaśniła, że „doszło do niekontrolowanego wystrzału z broni służbowej". Dydaktyzujemy: omijajcie komisariaty szerokimi łukami. Przypadki doświadczonych funkcjonariuszy niekontrolujących własnych pistoletów nie są tak rzadkie, jak oficjalnie podaje policja.

▮ Skazany na 10 lat więzienia, a poszukiwany czterema listami gończymi 63-latek z Krasnegostawu został zatrzymany po 17 latach zakrojonych na szeroką skalę działań operacyjnych policji. Wydział Poszukiwań i Identyfikacji Osób Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie odnalazł ukrywającego się w jednym z mieszkań w Łodzi. Tam starszy pan chował się przez cały ten czas za lodówką. Jest już w więzieniu, gdzie także mają lodówki.

▮ Polskie Linie Lotnicze LOT zajęły trzecie miejsce w światowym rankingu najlepszych linii lotniczych Stowarzyszenia Rzeczników Praw Pasażera APRA. W zestawieniu LOT został wyprzedzony przez katarski Qatar oraz niemiecki Eurowings. Zatem LOT zajął drugie miejsce w Europie. W tym samym rankingu Air France uplasował się na 25. miejscu, Lufthansa na 57. pozycji, KLM pod numerem 16., a British Airways na 82. stanowisku. Brawo, nasi!

▮ Burmistrz Białego Boru Paweł Mikołajewski uważa, że posiadanie mieszkania nie może być dobrem luksusowym. Z jego inicjatywy w przyszłym roku w ogóle nie będą pobierać podatku od nieruchomości mieszkalnych. Ewenement na skalę ogólnopolską. Decyzja podjęta została jednak również z niejakiego wyrachowania. Mikołajewski przypomina: „Osiem lat temu obniżyliśmy podatek od środków transportu, a dziś mamy w budżecie trzykrotnie więcej pieniędzy i dużo więcej firm funkcjonujących na naszym terenie".

▮ Mieszkaniec Warszawy oferował na wynajem kawalerkę przy ul. Gościeradowskiej w dzielnicy Targówek. Na 9 mkw. podłogi lokum znajduje się sedes u wezgłowia łóżka, które stoi naprzeciw lodówki. Jest też umywalka i kabina prysznicowa zaraz za nią. Stojący na środku pokoju po rozpostarciu ramion może dotknąć przeciwległych ścian. Wynajmujący wspominał o „doskonałej lokalizacji" w „prestiżowej kamienicy", chociaż przyznawał, że kawalerka nadaje się tylko dla jednej mało wymagającej osoby. Cena wynajmu 1600 zł miesięcznie. Wpłacić też trzeba kaucję.

▮ Zatrzymani przez policję z Gorzowa Wielkopolskiego obywatele Mołdawii tłumaczyli się, że oni chcieli sobie tylko pożyczyć ten samochód, a już na pewno go oddać, kiedy zorientowali się, co jest w środku. Ukradli bowiem w Słubicach półciężarówkę, w której znaleźli 39 sztuk broni długiej i 3 tys. pocisków. Arsenał należał do właściciela strzelnicy rekreacyjnej. W tej sytuacji postawiono im zarzut krótkotrwałego użycia pojazdu taryfikowany sześcioma miesiącami więzienia i nielegalnego posiadania broni, za który dostaną osiem lat.

▮ Z danych Naczelnej Rady Aptekarskiej wynika, że w stosunku do listopada sprzedaż testów na koronawirusa wzrosła o 128 proc., a przecież jest dopiero połowa grudnia. W ostatnich tygodniach kupowano w aptekach całego kraju średnio 200 tys. testów covidowych dziennie. Może to jeszcze nie epidemia, tylko ludzie testują się w przypadku byle kataru na wszelki wypadek.

▮ Rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie Łukasz Lis wyjawił, że w obecnym roku wpłynęły z terenu Podkarpacia 143 zgłoszenia o szkodach wyrządzonych przez wilki i zarazem wnioski o odszkodowania za te szkody na kwotę ponad 360 tys. zł. Ale o stratach wyrządzanych przez lisy pan rzecznik nie pisnął ani słowem. Ciekawe dlaczego.

R.J.

PS Wieści pochodzą z prasy regionalnej, więc za ich prawdziwość nie bierzemy odpowiedzialności. Publikujemy je ku radości. Wszyscy mają już po dziurki w nosie tej szczególnej staranności

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Zastraszani siecią

Czepiać się służb, że nielegalnie inwigilują, to jakby mieć pretensje do wiatru, że wieje.

Oglądacie reklamy namawiające, żebyście wykupili roczny abonament w firmie, która będzie was informowała, że właśnie bierzecie kredyt? Biegniecie do urzędu albo logujecie się na swój zaufany profil, żeby zastrzec PESEL? Ten sam PESEL, który musicie podawać dziesiątkom firm sprzedającym wam telefon, kablówkę, prąd, gaz czy cokolwiek – bo jak nie podacie, to umowy nie będzie.

Komornik zamiast Baby-Jagi

Zza każdego węgła lobby zabezpieczaczy waszych interesów atakuje was informacjami, że dane osobowe to największa tajemnica. I jak ktoś niepowołany się do nich dobierze, to przyjdzie do was komornik i wylądujecie pod mostem.

No i ludzie się boją. Płacą chore pieniądze za programy antywirusowe i zapisują się w kolejce po informacje kredytowe. A potem kupują pralkę, lodówkę czy kuchenkę mikrofalową albo odkurzacz, których głównym zadaniem jest ponoć dobranie się do informacji o nas. Nas, czyli miliardów użytkowników sprzętów, które mają za zadanie albo okradać te miliardy, albo zbierać materiały mające miliardy ludzi szantażować.

Nikt nie pomyśli, że to jakaś totalna bzdura, z której wciskania kilkaset firm ma miliardy, ale nie ludzi, lecz dolarów.

Odpowiedzialność za bezpieczeństwo każdego z nas państwa przerzuciły na obywateli. Tych samych, którzy płacą państwom podatki między innymi właśnie po to, żeby państwa dbały o ich bezpieczeństwo.

Państwa mają to jednak gdzieś. A przecież głupi problem brania na kogoś kredytu czy pożyczki jest do rozwiązania błyskawicznie. Wystarczyłoby, gdyby za to, komu banki udzielają kredytów, odpowiadały banki. Dziś każda kradzież cyfrowej tożsamości skutkuje latami udowadniania przez takiego okradzionego z danych, że nie jest wielbłądem. Gdyby jednak zapisać w prawie, że to do banku należy sprawdzenie, komu wypłaca hajs, i obłożyć taki przepis milionowymi karami, jeśli bank podpisze umowę kredytową nie z tym, z kim oficjalnie podpisuje, to problem zniknąłby od razu.

Nie byłoby chwilówek czy dużego szmalcu, który można przytulić tylko dzięki internetowi. Jeśli bowiem ktoś potrzebuje szmalcu, to powinien znaleźć chwilę, by się do placówki bankowej pofatygować osobiście. Tam zaś wystarczy pracownik banku i kamera obserwująca zarówno jego, jak i pożyczkobiorcę. Przy takiej procedurze weryfikacja byłaby niemal stuprocentowa.

Banki jednak na to nie pójdą, a ich lobbyści skutecznie wybiją takie pomysły z głów siedzącym w kieszeniach banków politykom. Dlaczego? Bo banki zamiast likwidować swoje oddziały i agencje musiałyby zacząć zatrudniać pracowników. To zaś byłby potężny uszczerbek dla bankowych zysków.

Stąd najlepsza jest dla finansjery sytuacja, gdy nie trzeba wynajmować kolejnych lokali ani płacić tysiącom urzędników, tylko sprzedawać kredyty w sieci. Nie bacząc, co i jak, bo przecież każda taka pożyczka jest przez bank reasekurowana. Znaczy, że nawet jeśli pożyczkobiorca nie odda ani grosza, to bank i tak na pewno nie straci, a nawet nieco zarobi.

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Prywatny inwigilator

Kilka lat temu znajoma poskarżyła mi się, że w facecie, z którym spotyka się od kilku dni, coś jej nie pasuje. Z tego, co jej opowiadał, wynikało jego poprzednie miejsce zamieszkania, czyli kilkunastotysięczne miasto, a w nim firma kierowana przez jego byłą. Nazwy firmy nie znaliśmy, ale branżę już tak. Tak samo jak imię owej byłej. Facet nie miał żadnego profilu na społecznościówkach. Zajmował się jednak handlem srebrną biżuterią. Miał imię, no i umiał podrywać kobiety. Na portalu dla dorosłych ludzi w zbliżonym do gościa wieku poprosiłem o pomoc, wyjawiając te strzępki informacji. Po dwóch godzinach miałem nie tylko wszystkie dane faceta z prawdziwym imieniem i nazwiskiem łącznie, ale również ostrzeżenia, że nie dość, że złodziej i naciągacz kobiet, to jeszcze rozsadnik chorób przenoszonych drogą płciową. Gdy więc facet zadzwonił do znajomej, a ta powitała go wymówieniem prawdziwego imienia, gość wymiękł i wyparował z jej życia. Pozostawił po sobie jedynie chlamydię.

Jakiś czas temu zniknął mi na kilka dni kolega, nader dbający o swoją prywatność. Wiedziałem tylko, że ma byłą małżonkę, córkę, której imię też wyjawił, i narzeczoną, którą kiedyś z nim spotkałem. Jedynym tropem było nazwisko panieńskie eks-małżonki. Na jej profilu w sieci wśród znajomych była córka. Córka zaś – jak twierdził kolega – była zaprzyjaźniona z obecną narzeczoną. Po kwadransie mogłem się więc od tejże narzeczonej dowiedzieć, że kolega w stanie nieciekawym dochodzi do siebie w szpitalu.

Nie mając ani Pegasusa, ani możliwości obserwowania logowania się czyjejś komórki, ani nawet jednego z setek darmowych lub niemal darmowych programów hakujących i szpiegujących komputery oraz komórki, byłem w stanie zdobyć takie dane, o jakie mi chodziło. I to dotyczące ludzi skrzętnie się kryjących.

W świecie, gdzie miliardy osób korzystają z różnych aplikacji, przeglądają strony internetowe, publikują w mediach społecznościowych, wysyłają e-maile, rzeczywiście jesteśmy nieustannie szpiegowani przez różne podmioty. Firmy internetowe gromadzą nasze dane, takie jak nazwę użytkownika, hasła, adresy IP i preferencje wyszukiwania. Robią to, aby lepiej dopasować reklamy do naszych zainteresowań. Dzięki temu mogą zarabiać jeszcze więcej. Facebook, Google, Apple i Amazon to tylko kilka przykładów firm, które śledzą nasze działania on-line. Tylko czy komuś to przeszkadza lub czy może nam to wyrządzić konkretną krzywdę?

Długie ucho państwa

Co złego mogą zrobić nam inni pozyskiwacze informacji z sieci, tacy jak rządy i agencje wywiadowcze? Bo one również monitorują nasze działania w internecie i wcale się z tym nie kryją. Oficjalnie robią to wszak w celu walki z terroryzmem i przestępczością. Są to działania, które mają na celu ochronę naszego bezpieczeństwa, ale jednocześnie prowadzą do naruszenia prywatności i wolności w internecie. To właśnie przeciwko takiej państwowej inwigilacji protestują najdziwniejsze stowarzyszenia oraz senator Brejza z Giertychem i prok. Wrzosek.

I oczywiście mają rację. Śledzenie szefa sztabu wyborczego partii konkurencyjnej do władzy to przegięcie godne systemu totalitarnego. Służby w rozwiniętych demokracjach od czasu afery Watergate raczej tego nie robią: inwigilacji polityków nieumoczonych w afery kryminalne boją się jak ognia. Co nie przeszkadza im śledzić, kogo tylko chcą, i to bez żadnych prokuratorskich czy sędziowskich podkładek. Inwigilacja to przecież to, po co służby zostały powołane. A że mają czym i jak inwigilować, po prostu to robią i będą robiły zawsze. Jedyne, co zostaje systemom demokratycznym w tej kwestii, to dbanie, by nielegalnie zdobyte informacje nie mogły być dowodami w sądzie. Więcej się po prostu nie da. Bo to, że państwowe służby będą nielegalnie inwigilowały obywateli, jest równie pewne jak śmierć i podatki.

Ponieważ jednak pospólstwo nie do końca jest przekonane do bycia śledzonym, to służby od czasu do czasu robią teatrum. Kilka tygodni temu widać je było w Parlamencie Europejskim. Służby kilku krajów podpuściły własne rządy, by te wprowadziły unijną regulację mającą na celu przeczesywanie internetu – czyli tego, co piszą w nim ludzie – za pomocą sztucznej inteligencji. To ona wyszukiwałaby materiały zawierające alarmujące zwroty. Służby były pewne, że taki zapis spotka się z odrzuceniem. Miały rację. Wniosek przepadł, a demokracja bez inwigilacji wygrała. Prowolnościowi aktywiści mogli się cieszyć.

Służby też. Przecież i tak od lat czeszą sieć – tę zaszyfrowaną również – bez żadnych specjalnych dyrektyw. I oczywiście będą to robiły nadal. Ale maluczcy niech się radują. Tak jak wszyscy handlujący w sieci strachem i nieściganymi przez nikogo prywatnymi inwigilacjami i podsłuchami.

TADEUSZ JASIŃSKI

Perma inwig

Moja przyjaciółka niedawno wynajęła nowe mieszkanie, więc postanowiłyśmy to uczcić. Odwiedziłam ją w jej nowych apartamentach, które z dumą mi zaprezentowała. Chwaliła się także nowymi nabytkami do nowego mieszkania. Kurtuazyjna wizyta na nowym kwadracie kumpeli zamieniła się w dłuższą posiadówę. Jak na damy przystało, usiadłyśmy wygodnie w fotelach przy małym stoliku i racząc się kawą, ciastkami, a następnie leniwie sącząc whisky, długo gadałyśmy o różnych kwestiach związanych z wynajmem mieszkań, a także o sprzętach, które przed kilkoma dniami moja przyjaciółka kupowała. Padło dużo słów, ale większość z nich obracała się najpierw wokół rynku wynajmu mieszkań, a później – wokół nowej lampy biurkowej, którą właśnie sobie sprawiła.

Po wyczerpaniu wszystkich tematów, które miałyśmy do obgadania, a także z uwagi na dość późną porę opuściłam przytulne mieszkanko kumpeli i wróciłam do domu.

• • •

Otwarcie komputera w dniu następnym wprawiło mnie w niejakie zdziwienie. Przepatrując Facebooka, by dowiedzieć się, co tam słychać w wielkim świecie, zwróciłam uwagę, że informacje z obserwowanych przez mój profil stron i profili znajomych przeplatane są reklamami. Reklamami dotyczącymi rynku wynajmu mieszkań, deweloperów oraz – uwaga, uwaga! – lamp biurkowych. Im dłużej przewijałam posty na tablicy Facebooka, tym bardziej uśmiechały się do mnie agencje wynajmu mieszkań i deweloperzy różnej maści (w tym także pato): „Zamieszkaj w raju", „Apartamenty dla seniorów", „Z nami wynajmiesz najbezpieczniej", „Twoje własne osiem metrów kwadratowych" etc., etc. Do tego oferty nie do odrzucenia lamp biurkowych: „Światło ciepłe", „światło zimne", „pięciostopniowa regulacja", „zasilana z sieci", „akumulatorowa", „ruchome ramię", a to wszystko w cenach – ma się rozumieć – śmiesznie niskich.

Odpaliłam Instagrama – to samo.

„Ki czort?" – pomyślałam. Mieszkać przecież mam gdzie, a na biurku stoją u mnie dwie lampy. Mieszkania chwilowo więc nie potrzebuję, a kupowanie kolejnej nowej lampy byłoby niczym wożenie drew do lasu. Z ja-

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

nentna ilacja

kiej okazji internet nagle uznał, że potrzebuję właśnie ofert mieszkań do wynajmu lub kupienia i nowych lampek na biurko?

• • •

Do tego, że internet podsuwa mi różne reklamy związane z tym, co akurat kupiłam w sieci czy stacjonarnie (GPS!), ewentualnie tylko oglądałam na stronach różnych sklepów, jestem już przyzwyczajona. To już normalka, jednak algorytmy tych reklam działają wyjątkowo głupio. Zazwyczaj bowiem po kupieniu czegoś dostajemy potem przez miesiąc reklamy tego samego. Po kiego grzyba, skoro już to właśnie kupiliśmy? Bezsens, bo takie reklamy trafiają w próżnię, ale ponieważ nie ja za to płacę, więc co mnie to obchodzi?

Gorzej jednak, że podczas rozmowy z przyjaciółką żadna z nas nie dotknęła ani jednym palcem komputera lub smartfona. Internet nie mógł więc zarejestrować, czym się interesujemy, by potem podsunąć nam określone reklamy.

I wtedy mnie olśniło: kiedy tak gadałyśmy z kumpelą, na stoliku leżały nasze smartfony. Wygląda na to, że te smartfony, mimo że tylko sobie leżały, rejestrowały cały czas to, o czym gadałyśmy. A ściślej: rejestrowały określone słowa, które potem posłużyły portalom społecznościowym do odpowiedniego sprofilowania reklam na moich społecznościówkach.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie ostrzeżenie od jednego ze znajomych, który kiedyś powiedział mi: „Uważaj, smartfon cię słucha, nawet gdy go nie używasz!”. Uznałam wtedy, że jest przewrażliwiony i widocznie lubi teorie spiskowe. Nie uwierzyłam i puściłam to ostrzeżenie mimo uszu. Dziś już wierzę.

Pamiętajcie więc: jeżeli zdarzy się wam tak, że przypadkiem nie będziecie pamiętać, co robiliście poprzedniego wieczora – co przecież może się zdarzyć, bo to ludzka rzecz – a na drugi dzień zaczniecie dostawać reklamy prezerwatyw, lubrykantów i sklepów z artykułami erotycznymi, to… może szkoda, że niczego nie pamiętacie. Sugerowałabym wtedy zmniejszyć dawki spożywanego alkoholu.

Na zdrowie!

EDYTA BAKER

Porno z odkurzacza

Pralka, wbrew pozorom, niekoniecznie tylko pierze.

Rekordy popularności odnotowują portale dla dorosłych, gdzie możemy pooglądać miłosne wygibasy zwykłych ludzi. Jak się ma szczęście (lub pecha), to można zobaczyć siebie albo sąsiadów.

Portale te wyświetlają filmiki sprzedawane im przez osobniki zajmujące się łamaniem zabezpieczeń sieciowych. Cwane programiki, dzięki którym omija się zabezpieczenia domowych sieci wi-fi, można kupić w internecie za kilkadziesiąt dolarów. Sprzedanie jednego filmiku wydatek ten już zwraca.

Żeby cię lepiej widzieć

Żeby mimowolnie zostać gwiazdą porno, nie trzeba mieć szczególnie dużych pieniędzy. Nie trzeba też być Adonisem czy Wenus. Wystarczy mieć hopla na punkcie własnego bezpieczeństwa i gadżetów technologicznych. I dać się złapać na lep takich reklam: „Bezprzewodowa kamera IP może bez problemu pełnić funkcję elektronicznej niani dla naszego dziecka. Zawsze wtedy, gdy śpi lub gdy bawi się samodzielnie w domu, my bez obaw możemy zająć się swoimi sprawami, wiedząc, że w przypadku jakiegokolwiek incydentu zawsze będziemy mogli natychmiast zareagować. Jeśli nasze dziecko jest starsze, to dzięki urządzeniu dowiemy się, czy już wróciło ze szkoły”.

Jeśli nie masz dziecka, to może choć psa? Wszak „każdy opiekun psa doskonale wie, jak wiele szkód może narobić nasz pupil podczas naszej nieobecności. Inteligentne funkcje kamery natychmiast poinformują nas o ruchu i nagrają każde zachowanie psa”.

Skoro jednak nie jesteś też posiadaczem zwierzaka, to na pewno w chałupie jest coś, czego nie chciałbyś, by ci ukradziono. „Kamery sprawdzają się także świetnie w roli zabezpieczenia na wypadek włamania i kradzieży. To szczególnie ważne, gdy często wyjeżdżamy i obawiamy się, że coś złego może stać się podczas naszej nieobecności. To rozwiązanie, które przede wszystkim zapewni ci spokój, do tego podniesie poziom bezpieczeństwa”.

Jest też coś dla ludzi z nerwicą natręctw. „Jeśli dużą część dnia spędzasz poza domem, niejednokrotnie zastanawiasz się, czy pod twoją nieobecność wszystko jest w porządku. Za pomocą kamery IP sprawdzisz to w kilka–kilkanaście sekund. Upewnisz się, że dom jest bezpieczny, zamknięty, woda zakręcona, a żelazko wyłączone. To bardzo przydatne, jeśli mieszkasz w bloku”.

Kamery kosztują od 150 do 400 zł. Gdy ktoś ma dwie sypialnie i salon, to powinien objąć monitoringiem całe mieszkanie za 1000 zł. Wszystkie te urządzonka oparte są na mikroprocesorach. Mają zatem pamięć oraz własny system operacyjny. Są więc, podobnie jak smartfony czy tablety, komputerami. Żeby działać, potrzebują sieci komputerowej, która z kolei jest podłączona do internetu. Kamera IP jest zatem kamerą internetową, do której dostęp ma każdy, kto ma dostęp do sieci i może się do naszego wi-fi włamać nawet z drugiego końca świata.

Hakerzy wykorzystują też luki w zabezpieczeniach kamer IP. Gdy uda im się wejść do systemu, mogą choćby ukraść wrażliwe informacje osobowe lub krępujące sekrety. Oraz oczywiście nas podglądać i nagrywać. Haker będzie mógł nie tylko monitorować obraz z kamery w czasie rzeczywistym, ale także sterować sprzętem zdalnie. Ba, program wyśle mu powiadomienia, gdy kamera wykryje ruch w obrębie swojego widzenia, i wtedy może włączyć nagrywarkę. Na dodatek będzie mógł robić nawet zbliżenia, bo przecież mając władzę na kamerą, skorzysta i z takiej funkcji. Największą dotychczas wtopę zaliczyły inteligentne kamery do monitoringu domowego marki Xiaomi, gdy same z siebie rozsyłały internautom zdjęcia wnętrz domów, które miały chronić.

Komórkowa dziurka od klucza

Każdy smartfon też ma swoją kamerkę i oczywiście mikrofon. Ktoś, kto zhakuje urządzenie, może mieć niezły ubaw. Głównie jednak z podsłuchiwania i przeglądania korespondencji. Komórki bowiem kładziemy tak, że zazwyczaj ich kamery pokazują albo blat, czyli nic, albo sufit. Jeśli zatem nie jesteśmy ekshibicjonistami, to starajmy się kłaść telefon tak, by nic nikomu sam z siebie nie pokazywał.

Irlandzko-brytyjski zespół naukowców wziął pod lupę smartfony trzech popularnych chińskich marek: OnePlus, Xiaomi i Realme. Wyszło mu, że oprócz typowych informacji pozyskiwanych przez wiele aplikacji chińskie smartfony w czasie rzeczywistym przekazują dane o geolokalizacji, sieci wi-fi, z którą połączony jest telefon, a także listę zainstalowanych aplikacji, historię ich używania, numer telefonu, historię połączeń, historię wiadomości.

Przekazywanie danych o geolokalizacji trwało nawet wtedy, gdy badacze po przywróceniu telefonu do ustawień fabrycznych nie włączyli w urządzeniu funkcji geolokalizacyjnych. Z kolei przekazywanie informacji o karcie SIM trwało nawet wówczas, gdy ta była wyłączona. Ponadto jeden ze smartfonów przekazywał także informacje pozyskane z domyślnie zainstalowanych w telefonie aplikacji: dyktafonu, notatnika czy ustawień.

Wszystkie te dane przekazywane były bez pytania użytkownika o wcześniejszą zgodę oraz bez możliwości wycofania uprawnień aplikacji. Według naukowców informacje te trafiały do chińskich służb. Niestety, nie znalazł się nikt odważny, by podobne badania przeprowadzić na smartfonach amerykańskich i koreańskich. Ciekawe dlaczego.

Generalnie jednak – o ile nie jesteśmy Dworczykiem – hakerów w smartfonie nie musimy się bać. Dzięki nim internetowymi tytanami seksu nie zostaniemy.

Pluszowy wywiadowca

Okazuje się, że hakuje się nie tylko kamery czy komórki, ale wszystko, co mamy w domu i czym możemy zdalnie sterować, jak np. wideodzwonki do drzwi, które pozwalały hakerom dostać się do sieci użytkownika i sterować wszystkimi podłączonymi do niej sprzętami. Tak samo telewizory, które zhakowane same przełączały programy i zmieniały głośność, a nawet wykorzystywały swoją wewnętrzną kamerę nie tylko do sterowania urządzeniem, ale do podglądania. Wyczajono też połączone z internetem ekspresy do kawy, za których pośrednictwem do sieci wyciekły dane, w tym bankowe, ich właścicieli. Z niektórych modeli samojezdnych odkurzaczy hakerzy zrobili kamery IP. Jednak główny problem z podłączonym do sieci sprzętem AGD sprowadza się do tego, że dzięki lukom w oprogramowaniu każdy może zawładnąć wszystkimi urządzeniami do domowego wi-fi podłączonymi. Również laptopami, które przecież mają kamerę mogącą przekazywać i nagrywać to, co haker uzna za stosowne.

W 2016 r. norweska organizacja konsumentów Forbrukerrådet przetestowała łączącą się z internetem lalkę My Friend Cayla i robota i-Que. Zabawki zadawały dzieciom pytania, zapamiętywały ich odpowiedzi i eksportowały je producentom. Na szczęście bawiące się nimi dzieci narażone były tylko na reklamy. Dlatego lalka Cayla opowiadała o tym, jak bardzo lubi oglądać filmy Disneya, z którym producent zabawki miał podpisaną umowę. W 2017 r. Niemcy uznały Caylę za nielegalne urządzenie szpiegowskie i zabroniły jej sprzedaży. Od tej pory zarzuty dotyczące podatności na wrogie przejęcie przez hakerów wysuwane były również wobec lalki Hello Barbie, zabawek Furby Connect, Cloud Pets czy Toy-fi Teddy.

Amerykańska organizacja U.S. PIRG Education Fund od lat przygląda się inteligentnym zabawkom z mikrofonami, kamerami, ale też takim, które mają funkcję śledzenia lokalizacji. Są one w prostych zabawkach jak pluszaki, które słuchają i mówią, ale też w bardziej skomplikowanych – dronach, inteligentnych głośnikach czy smartwatchach. Organizacja podaje też przykłady, kiedy lalkowa cyberinwigilacja kończy się niefajnie, jak w przypadku 11-letniej dziewczynki porwanej przez faceta, który uzyskał jej dane dzięki cyberzabawce.

Z rączkami na kołderce

Wszystkie internetowe samouczki mówiące, jak chronić się przed włamaniami do domowych sieci, każą wymyślać długie i skomplikowane hasła dostępu. Oczywiście hakerzy mają już programy, dzięki którym rozgryzają takie szyfry najdłużej w minutę. Jednak myk z włączaną internetem pralką czy odkurzaczem jest dla nich o wiele prostszy. Dlatego można sobie robić nie wiadomo jakie zabezpieczenia cyfrowe, a i tak każdy będzie mógł opanować nasze laptopy i kamery monitorujące dzięki laleczce czy skonfigurowanej z wi-fi lodówce.

W tej sytuacji ktoś, kto nie chce się obnosić w sieci ze swoją seksualnością, ma tylko jedno wyjście. Baraszkować grzecznie pod kołderką. Samo wyłączenie światła może nie wystarczyć, bo współczesne kamery działają jak noktowizory i utrwalają wszystko w barwach czarno-białych.

TOMASZ BOROWIECKI

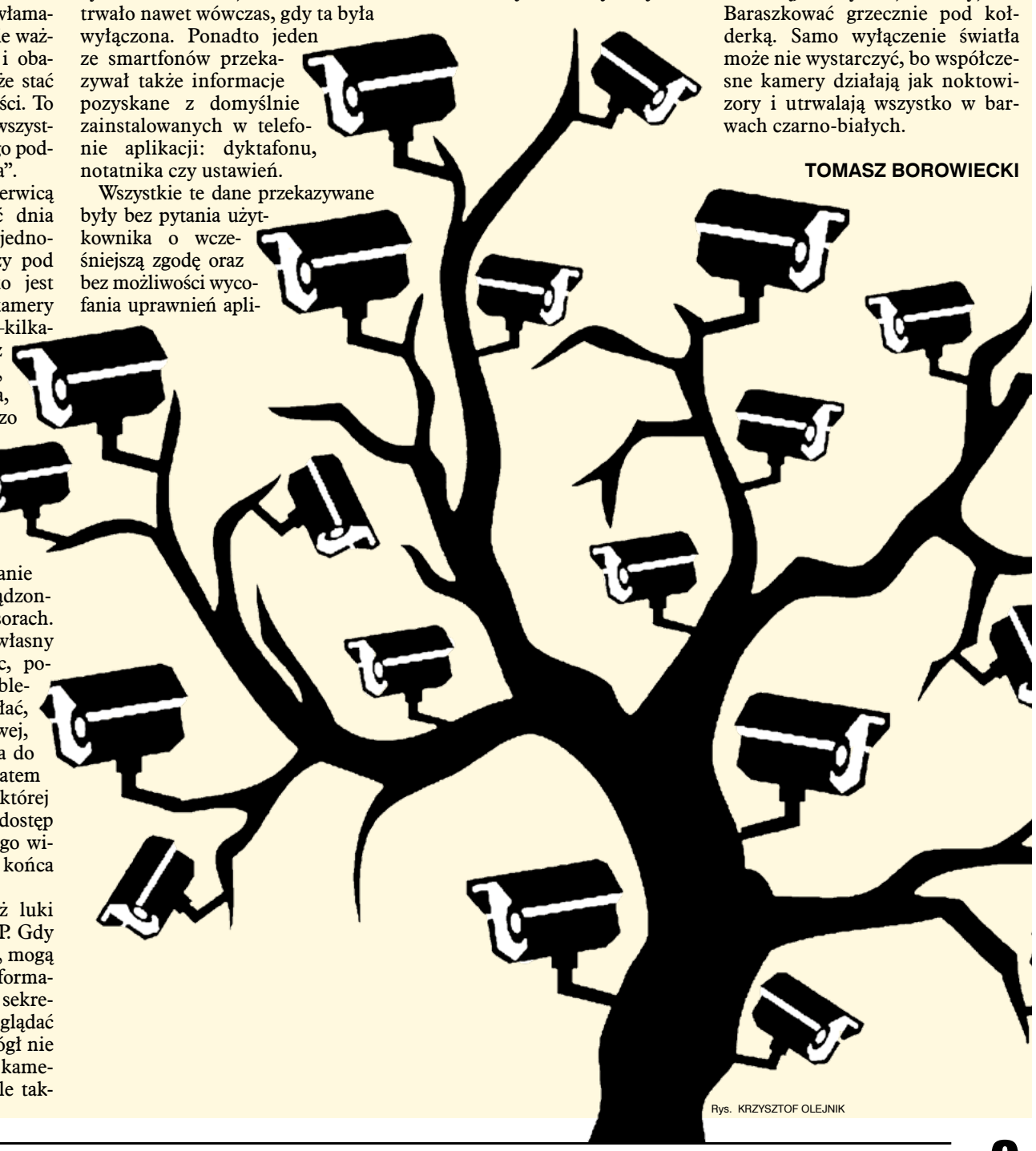

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl a3aa8fdd3e

ŚP. Wolność prasy

Donald Tusk podczas piątkowej konferencji prasowej kolejny raz potwierdził, że zmiany w mediach publicznych to jedna z priorytetowych decyzji po powołaniu jego rządu. W telewizji będzie rewolucja albo w ogóle się to zlikwiduje. To bardzo szczere i odważne wyznanie premiera budzi pewną grozę. Wszelkie rewolucje i likwidacje są bowiem niebezpieczne również dla rewolucjonistów i likwidatorów.

Niewątpliwie Jacek Kurski, ojciec obecnej TVP, dokonał ogromnego przełomu w filozofii informacyjnego przekazu telewizyjnego, który przestał być mdły, niejednoznaczny, mało konkretny, niezrozumiały, po prostu nieciekawy. Ten stan budzący umiarkowane zainteresowanie publiczności trwał przez poprzednie 20 lat, a nagle pojawił się Kurski.

Kurwizja

Posłużmy się przykładem. W telewizji przedkurskiej, kiedy to panował Juliusz Braun, byłoby: „Donald Tusk, były premier i poseł do Europarlamentu, spotkał się z kanclerzem Niemiec Angelą Merkel. Rozmowy dotyczyły zacieśnienia współpracy w zakresie kooperacji niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego z polskimi wytwórcami podzespołów samochodowych". W warstwie wizualnej widzielibyśmy jakiegoś cherlaka w garniturze z Bytomia, witającego się z nieco piernikowatą matroną w garsonce z Bonprix. W trzecim tle byłby błękitny gwiaździsty sztandar. Na pierwszym planie biało-czerwone goździki w fajansowym wazonie. Co to kogo obchodzi i tak naprawdę, co znaczy?

W telewizji Kurskiej informacja byłaby taka: „Eks-premier, który porzucił polskie interesy, sprzedając je za sutą euroemeryturę, spotkał się z kanclerzem hegemonii europejskiej, aby podporządkować polskich wytwórców części samochodowych interesom niemieckiego lobby motoryzacyjnego. Niemiecki kapitał uparcie torpeduje projekty stworzenia polskiego narodowego samochodu, zalewając nasz rynek wyeksploatowanym czterokołowym szmelcem, chcąc podbić Polskę bez wojny". W tle zapewne widzielibyśmy pierwszego volkswagena garbusa w wersji cabrio, w którym z wyciągniętą w rzymskim salucie ręką podróżowałby sam Adolf Hitler w rozpinanym sweterku (koloryzowane).

Proszę zwrócić uwagę na potężną przewagę ładunku intelektualnego, emocjonalnego i poetyckiego, jakim strzelał w umysły widzów Kurski, w opozycji do retoryki wziętej z czasów panowania Juliusza Brauna.

Siepacze Kaczora

Ludzie, którzy tworzyli kurskie, przesadzone, przerysowane tendencyjne komunikaty, w gruncie rzeczy nie robili tego ze złej woli. Redagowano podobne przekazy z głębokim poczuciem ich prawdziwości, ideologicznej słuszności oraz misji służenia opcji politycznej, którą szczerze wyznawano. Czy Danuta Holecka, biorąc absurdalnie nieadekwatne pieniądze za swoją pracę, łgała wyłącznie dla pieniędzy? To jest po prostu niemożliwe. W gruncie rzeczy powodowana była szczerą i platoniczną miłością do Jarosława Kaczyńskiego i jego politycznej dalekowzroczności. Czy dr Magdalena Ogórek, kandydatka Leszka Millera na prezydenta RP, wygłaszając stanowiska będące w konflikcie z uczciwością normalnego człowieka, zabiegała wyłącznie o swoją karierę oraz kolejną torebkę Christiana Diora za 15 tys. zł? Nie! Ona czuła się zobowiązana lojalnością wobec Jarosława K., który jej zdaniem jest geniuszem.

Znienawidzone przez jednych, a kochane przez innych programy informacyjne TVP w ostatnich latach zyskały na oglądalności. To wszak słusznie poczytywane być może przez ich twórców za sprawiedliwy ekwiwalent wysiłków. Nie były też robione przez ludzi zupełnie obłudnych, całkowicie sprzedajnych, ekstremalnie zakłamanych. Być może byli oni niezbyt inteligentni i niedouczeni, ale ideowi, kreatywni i wierni. To w gruncie rzeczy bardzo zgrana solidarna drużyna absolutnie przekonana o własnej nieomylności i przymiotach charakteru.

Nie można też nie zauważać, że w gruncie rzeczy bardzo trudno społeczeństwo przyjmuje fakt zmiany władzy. Ludzie nie rozumieją subtelnych przeniesień akcentów w polityce z liberalizmu w kierunku centrum lub konserwatyzmu, wyrażających się w rozporządzeniach jakiegoś nieznanego nawet z twarzy ministra. Społeczeństwo wierzy w to, co widzi.

Kurski dał ludności radykalną zmianę tego, co pochłania niektórych przez pięć godzin dziennie – matrycy telewizora. Nowe twarze, kolorystyka, rozdzielczość wysoko zdefiniowana i dźwięk wysokiego odwzorowania. Coś przełomowego, rewolucyjnego.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Organizacja Reporterzy bez Granic (RSF) dorocznie publikuje światowy indeks wolności prasy (Press Freedom Index). Sytuacja oceniana jako dobra jest tylko w jednym regionie świata o powierzchni większej niż Francja, Hiszpania, Niemcy i Wielka Brytania razem wzięte. Tym miejscem jest Grenlandia, gdzie mieszka populacja porównywalna z liczebnością Zgierza (56 tys. osób). Są tam jeden nadawca radiowo-telewizyjny i jedna gazeta, w których, co zaskakujące, pracują wyłącznie urzędnicy państwowi. Media należą bowiem do miejscowego rządu, który nie jest w pełni autonomiczny. Uciskany jest przez malutką Danię. Zastanawia nas zatem, czy aby na pewno to prawda. Może Reporterzy bez Granic przekroczyli wszelkie granice. Dali się po prostu skorumpować?!

Hop-siup, zmiana dup

Służba publiczna została niejako zapomniana na rzecz traktowania telewizji jako instrumentu. Trwało to osiem lat, w czasie których dojrzało kilka milionów ludzi (2,5 mln dokładnie) – ci innej telewizji nie znają. Nie bardzo sobie wyobrażają, na czym miałby polegać ten nowy zobiektywizowany przekaz w ryzach pragmatyki Platformy, które upodabniają się do metodyki PiS-u.

Na czym miałaby polegać owa kolejna zapowiadana przez Tuska rewolucja? Wypierdoli się wrogów? Obsadzi intratne sławotwórcze stanowiska prezenterów swoimi ludźmi? To samo zrobiło PiS. Retoryka zostanie przesunięta w kierunku: „Jarosław Kaczyński, który zaniedbaniem zabił brata prezydenta, podjudzany przez byłego ministra obrony o niejasnych stosunkach z rosyjskimi służbami specjalnymi, jest bezpośrednio odpowiedzialny za tragiczne w skutkach dla narodowych finansów inwestycje w port lotniczy, elektrownię jądrową i fabrykę meleksów, które nigdy nie miały szans powstać".

Logiczne, uzasadnione i sprawiedliwe, tyle że nie o to chodzi. Chodzi o przywrócenie publicznym mediom i mediom w ogóle stanu równowagi, aby podążały szlachetną ścieżką złotego środka. Kompromisu wynikłego z dialektycznej dysputy. Tylko czy to jest w ogóle możliwe w warunkach, gdy przemysł medialny jest w poważnym kryzysie? Gdyby polska opieka zdrowotna była w podobnym stanie, pacjenci wymieraliby jak muchy na SOR-ach przed przyjęciem do szpitali.

Cienie cukrowej góry

Nie dowiecie się tego z Wirtualnej Polski ani z Onetu, tudzież z innych komunikatorów, które kłamią przez zaniechanie. Mark Zuckerberg odpowiedzialny jest za zniszczenie profesjonalizmu i obiektywizmu w środkach masowego przekazu, za implementowanie bezprawia i zalegalizowanie grabieży w przestrzeni medialnej. Kodeks cywilny, prawo prasowe, prawa autorskie nie działają. Dobry obyczaj, powściągliwość, wymóg ustosunkowania się do krytyki prasowej umarły. Ludzie, których profesjonalną misją było, aby wiedzieć, przestali wiedzieć i rozumieć. I to nie tylko w Polsce. Również „New York Times" stoi na skraju bankructwa.

Choroba jest poważna dlatego, że nie sposób przywrócić równowagę instrumentami prawnymi. Jak zmusić management Facebooka do płacenia honorariów autorskich za ukradzione, a publikowane tam utwory w sytuacji, kiedy ten zajmuje cyniczne stanowisko: „My możemy zapłacić, tylko komu i ile?". Jak zmusić autora z TikToka do opublikowania sprostowania lub przeprosin w sytuacji, że kiedy już dochodzi co do czego, to okazuje się, że wpisu już nie ma, to nie on albo w ogóle takiego kogoś nie było?

Jak wyjść na swoje w medialnym geszefcie, kiedy dociekanie prawdy jest drogie, a konfabulacje kosztują tyle co szklanka herbaty. Zachwiana została równowaga między kapitalnym interesem współczesnego społeczeństwa, polegającym na prawie do informacji, a dysponentami politycznymi i ekonomicznymi. Opłacanie kłamstw nazywane jest reklamą natywną.

Zdezaktualizowała się liberalna filozofia (której i my się kłanialiśmy), że media są przedsiębiorstwami jak każde inne. Powinny działać w warunkach wolnej gry ekonomicznej. Być utrzymywane tak jak wszyscy dzięki pieniądzom swoich klientów. To był taki kierunek, kiedy postulowaliśmy zniesienie abonamentu za telewizję i radio publiczne, obciążenie wydawców podatkiem VAT (co zresztą nastąpiło), a nawet likwidację organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi.

Jest droga, którą rozpoczął PiS, polegająca na zawłaszczaniu konających mediów. Dotowania radia i telewizji. Utrzymywania pozorów niezależności ojca Rydzyka, który bez rządowej kroplówki też by już zapewne prowadził kościelny radiowęzeł w Toruniu, a nie wszechpolską rozgłośnię kolonizującą Ukrainę i Białoruś.

Z gówna prezent

Zniewolenie odbywa się przez pozorne dobrodziejstwo. Przyzwolenie na dwa miliardy złotych deficytu w mediach państwowych w przyszłym roku, reklamy czołgów w prasie braci Karnowskich i stacji benzynowych Orlenu w tytułach Polska Press. Orlen jest zresztą stuprocentowym udziałowcem wszystkich tytułów należących do tej ongiś niemieckiej spółki.

Rewolucji i zmian zapowiadanych przez Tuska nie będzie. Jest wola, ale nie ma idei. Brak pragmatycznych rozwiązań. Co gorsza, nawet nieuwikłane w propagandową machinę przekazu media, które z przyczyn niekoniunkturalnych popierały PO, teraz stają na stanowisku, że musi im się poprawić. Domagają się niejakiej opieki ze strony budżetu i nowej władzy. To, co dotychczas było złe, staje się dobre. Kalemu ukradli krowę – źle. Kali kradnie krowę – dobrze.

Nowego otwarcia nie będzie również dlatego, że ci, co mogliby coś zmienić, umierają lub umarli, a ci, co powinni, jeszcze nie dorośli.

ROBERT JARUGA

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

REKLAMA

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Stołówka KC PZPR była rozczarowaniem.

Kraj octem płynący

Dziennikarze polskich mediów głównego nurtu zwykle głupsi są od swych czytelników. I często z lenistwa lub ograniczeń umysłowych rozpowszechniają medialne banały i popularne gówno prawdy. Zauważcie, że zawsze ci głównonurciarze, jeśli mają powiedzieć coś dobrego o Polsce Ludowej, to przynajmniej trzy razy zastrzegą się, że był to okres słusznie miniony. To ma ich rozgrzeszyć z ewentualnego zarzutu propagowania Polski Ludowej, czyli bezecnego „komunizmu". Bo ów „antykomunizm", zwłaszcza jego najgłupsza odmiana, jest jednym z fundamentów umysłowych głównonurciarzy.

Zbliżają się święta, czyli czas zakupów. Zwykle głupich i głupszych. I znów usłyszymy od głównonurciarzy, że tegorocznie drogo jest, o wiele drożej niż w zeszłym roku, i coraz mniej rodzin stać na dwunastopotrawową wigilię.

Ale za komuny było jeszcze gorzej. Bo w sklepach był na półkach tylko ocet, a cały naród czekał na codziennie zapowiadany w „Dzienniku Telewizyjnym" – ówczesnych „Wiadomościach" – statek płynący z kubańskimi pomarańczami.

Owe sklepowe półki wypełnione octem są dyżurnym obrazkiem ilustrującym gównoprawdy o Polsce Ludowej. Tezę, że w normalnych sklepach był w ciągłej sprzedaży jedynie ocet, a szynki, kawiory i koniaki dostępne były jedynie dla „komunistów" w specsklepach za żółtymi firankami.

Jak żarłem

Polska Ludowa przeżyła ponad 40 lat, ja przeżyłem w niej 33 lata. Upadła, kiedy osiągnąłem wiek chrystusowy. Każda jej dekada inna była politycznie, i konsumpcyjnie też. Przez dwie ostatnie, tę gierkowską i tę jaruzelską, byłem konsumentem czynnym i świadomym. Kupowałem dla siebie i swej rodziny też.

Urodziłem się w świętym mieście Częstochowie w rodzinie drobnomieszczańskiej. Rodzice mieli prywatną piekarnię i sklep, gdzie sprzedawaliśmy pieczywo. Zwykle właśnie upieczone.

Moi rodzice byli ówczesną prywatną inicjatywą. Nie byli klasami przodującymi, jak wtedy robotnicy i chłopi, nie byli też akceptowaną wówczas inteligencją pracującą. W pierwszej dekadzie Polski Ludowej, tej stalinowskiej, żyli na marginesie społecznym jako potencjalni wrogowie ludu. W drugiej dekadzie, tej gomułkowskiej, uważano ich za relikt czasów minionych. Skazany na wymarcie.

Aby nie wzrośli w dostatek, ówczesna skarbówka nakładała na prywatną piekarnię dodatkowe podatki zwane domiarami. Tatuś niektóre płacił, inne mu uchylano za łapówki dawane skarbówce. Łapówki odpalane ludowej władzy były chlebem powszednim prywatnej inicjatywy w Polsce Ludowej.

Ponieważ poza dawaniem łapówek rodzice też ciężko pracowali, a chleb i inne pieczywo piekli wspaniałe, to nigdy biedy w tamtej Polsce nie zaznałem. Ale rodzice stawiali mi jeden warunek: jako dziecko prywatnej inicjatywy nie mogłem na zewnątrz pokazywać swego dobrostanu. Ja i przede wszystkim moje siostry musieliśmy ubierać się skromnie. Nie szpanować ciuchami. Ani łyżwami, nartami, rowerami.

Za to w domu mogliśmy jeść wszystko. Zwłaszcza na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne. Nigdy nie staliśmy przed świętami w kolejkach po karpie, szynki, czekolady, pomarańcze. Wszystko przywożono nam do domu-piekarni.

Przywożono nam ze sklepu rybnego żywe karpie, a oni w zamian mieli siatki z pieczywem na święta. Wybranym, wypieczonym. Podobnie było z szynkami i kiełbasami, czekoladami i cytrusami. Oni dostawali od nas chleb codzienny przecudnie wypieczony, my od nich to, czym oni handlowali. Zwykle w sklepach państwowych. Pieniądze były wtedy drugorzędne, służyły jedynie jako środek obrachunkowy, bo wymiana miała charakter barterowy.

W naszej piekarni i sklepie istniał cały dział siatek. Wiszących na hakach toreb, do których moja Mamusia odkładała najlepsze, możliwie jak najświeższe pieczywo. Były tam siatki przeznaczone dla skarbówki, sanepidu, Milicji Obywatelskiej, pań nauczycielek i pana dyrektora szkoły, pań i panów ze wszystkich niezbędnych sklepów. Dzięki temu mogliśmy bez kolejek kupić delikatesowe produkty żywnościowe, ale też pralkę, telewizor, wycieczkę do Jugosławii. Wszystko, czego niby nie było. Ale można było to mieć, kiedy też się miało.

Oczywiście nie wszystko kupowaliśmy w systemie siatkowym. W ówczesnej Polsce Ludowej istniały oprócz systemu sklepów też bazary i bazarki, gdzie sprzedawano towary po cenach znacznie wyższych niż te ustalane przez instytucje państwowe. Dziś rzeklibyśmy: po cenach rynkowych.

Rys. TOMASZ WIATER

Komercjuszki

„Kto ty jesteś? Komercjuszek. Jaki znak twój? Tłusty brzuszek" – taki wierszyk popularny był w końcówce lat 70. XX w. Bo wtedy władze, aby ściągnąć nadwyżkę pieniędzy, wprowadziły system mięsnych sklepów komercyjnych. Tam można było kupić deficytowe wyroby mięsne za ceny wyższe niż te w normalnych sklepach, gdzie ich zwykle brakowało. Ale podobnych sklepów było wtedy więcej. W latach 60. były delikatesowe sklepy Galluxu. Cały czas funkcjonowały komisy, gdzie sprzedawano towar przychodzący w paczkach od mieszkających za granicą Polaków. Najlepiej zaopatrzone były te komisy na Wybrzeżu, bo tam sprzedawano też towar przywieziony przez polskich marynarzy. Przemycany.

Były też sklepy Baltony i Pewexu, sprzedające towary za zachodnie waluty lub bony PeKaO. Tak czy siak, zawsze drogo. Moich rodziców stać było na zakupy tam, ale pierwsze dżinsy marki Wrangler kupili mi w Nowym Targu. Bo w rodzimej Częstochowie mógł ktoś zobaczyć, że prywaciarze kupują w Pewexie.

W epoce gierkowskiej jako licealista jeździłem z Częstochowy do Katowic na wagary. Bo tam czułem się anonimowy w tłumie. Tam było piwo w ciągłej sprzedaży. Tam też robiłem zakupy dla rodziny, bo Katowice były lepiej zaopatrywane w masę towarową niż Częstochowa.

Potem, w dekadzie jaruzelskiej, górnicy wydobywający deficytowy węgiel dorobili się specjalnych sklepów, tzw. geweksów, sprzedających deficytowe towary, przede wszystkim sprzęt AGD.

Kiedy zamieszkałem w Warszawie, już w dekadzie jaruzelskiej, odkryłem bazary. W Rembertowie z ciuchami, na Polnej z delikatesową żywnością i bazar Różyckiego ze wszystkim. No i z pobliską ul. Ząbkowską, gdzie przez 24 godziny na dobę sprzedawano deficytową wtedy wódkę Żytnią.

Nostalgia za kolejkami

Miałem okazję też jako dziennikarz trafić do milicyjnych i wojskowych kasyn. Wbrew legendom wielkiego żarcia tam nie było. Ale smak gotowanych golonek za psie pieniądze zapamiętam do końca konsumpcyjnego żywota. Za to wizyty w stołówce Komitetu Centralnego PZPR mnie rozczarowały. Zamiast spodziewanego kawioru i koniaków zastałem dania barowe, przyzwoite i tanie, a w bufecie jedynie ser żółty i konserwowe mielonki mięsne z Chin. Dobre, bo sprzedawane bez kartek.

Jak kupowaliśmy w Polsce Ludowej, przypomina książka „Zakupy w PRL. W kolejce po wszystko" napisana przez Wojciecha Przylipiaka. Uczciwie, bo rzetelnie, przypominająca czasy, kiedy nie tylko ocet królował na półkach polskich sklepów. To nostalgiczna opowieść o zakupach w latach 1945–1989. Od małych sklepów osiedlowych po okazałe domy handlowe. Od prywatnego handlu po sieciówki typu Moda Polska. Pozycja warta lektury na święta.

W Polsce Ludowej, aby kupić coś atrakcyjnego, musiałem spędzić wiele czasu, aby ów towar zdobyć. Upolować go. Ale kiedy już go miałem, to cieszyłem się jak dziecko. Byłem szczęśliwy.

Dziś spędzam masę czasu, aby wybrać z setek propozycji coś, co mi się wreszcie spodoba. Ale kiedy już wybiorę i kupię, zwykle okazuje się, że gdzieś tam było coś jeszcze lepszego i tańszego. I żadnej radości z takich zakupów już nie mam.

PIOTR GADZINOWSKI

Wyrok ETPCz w sprawie równości małżeńskiej.

Co człowiek złączył, niech żaden bóg nie rozdziela

Polska musi uznać związki jednopłciowe – wynika z orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu. To historyczne orzeczenie trybunału zapadło 12 grudnia. W społeczności LGBT zapanowało kolejne radosne wzmożenie, choć wyrok trybunału jeszcze niczego nie przesądza.

♥♥♥

To oczywiście bardzo dobrze, że ETPCz wydał taki, a nie inny wyrok, bo pokazał tym, że Polska do tej pory równo olewała prawa osób LGBT. A – jak wiemy – ostatnio nie tylko olewała, ale wręcz prowadziła państwową nagonkę na nie. Swoje dokładał też Kościół katolicki złotymi usty różnych jędraszewskich oraz niższej rangi naziemnego personelu Pana B.

Na wszelki wypadek trybunał spuścił też do kanału różne katoprawackie pomysły, by pary jednopłciowe – jeżeli już muszą żyć razem i mieć poczucie, że są w związku – spisywały sobie umowy u notariusza, bo to powinno im wystarczyć, a przecież poza tym i tak mają pełnię praw. No więc ETPCz uznał, że to nie wystarcza i takimi mykami sprawy się nie da opędzić.

♥♥♥

Pytanie, co z tym zrobi rząd, ten rząd, pozostaje nadal aktualne i właściwie bez wyraźnej odpowiedzi. Jeżeli – a słyszymy to ostatnio powtarzane jak mantrę – nowy rząd rzeczywiście pragnie zmieniać kurs ostatnich ośmiu lat i przywracać praworządność, to zmiany w tej dziedzinie powinny zostać wykonane ciupasem. No ale nie oszukujmy się: w koalicji zgody co do wprowadzenia równości małżeńskiej w Polsce nie ma (pisaliśmy o tym w numerze 43/2023), a nawet jeżeli koalicja w tej sprawie się dogada, to do ustawowego wprowadzenia koniecznych zmian potrzebny jest jeszcze podpis prezydenta. Tego prezydenta. Który – jak wiadomo – z racji tego, że jest właśnie tym prezydentem, żadnej takiej ustawy raczej nie podpisze, a anachronicznego tzw. porządku prawnego, nijak nieprzystającego do życia, będzie bronił jak niepodległości albo nawet jeszcze bardziej.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

♥♥♥

Wyrok strasburskiego trybunału sprawy nie przesądza, ale otwiera nowy rozdział batalii o prawa osób LGBT. Już żaden polski rząd nie będzie mógł powiedzieć, że Polska na takie rozwiązania nie jest gotowa ani że zagrażają one tradycyjnej rodzinie (bo ETPCz orzekł właśnie, że nie zagrażają w żaden sposób). Jeżeli jednak nasza umiłowana władza będzie ten wyrok olewać, to stanie w jednym szeregu z Putinowską Rosją. Przeciwko Rosji ETPCz wydał analogiczny wyrok, jednak Putin się nim niespecjalnie przejął, a nawet – jak słyszymy z ostatnich doniesień z Rosji – mocno przykręcił śrubkę miejscowym elgiebetom.

EDYTA BAKER

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Tydzień temu informowaliśmy, że uchwalony niedawno budżet Ukrainy zakłada sfinansowanie z wpływów podatkowych wyłącznie funkcjonowanie armii. Pozostałe wydatki miałyby zostać pokryte z pomocy międzynarodowej. Zapoznawszy się z tymi rewelacjami, senat Stanów Zjednoczonych zablokował dalszą pomoc Ukrainie. Decyzja amerykańskich senatorów nie dziwi, bowiem – jak wynika z sondażu zleconego przez „Financial Times" – aż 48 proc. Amerykanów uważa, że USA wydają zbyt wiele na pomoc Ukrainie, 27 proc. sądzi, że kwota jest odpowiednia, tylko 11 proc. pragnie zwiększenia pomocy, a 14 proc. nie ma zdania.

☆ W nocy z 11 na 12 grudnia policja siłą próbowała zlikwidować protest transportowców na granicy polsko-ukraińskiej. Podstawą do akcji policji była decyzja wójta gminy Dorohusk o rozwiązaniu protestu. Organizatorzy złożyli powtórne zawiadomienie o proteście. Zablokowane są przejścia w Hrebennem oraz Korczowej. Ponadto 11 grudnia do protestu dołączyli transportowcy z Węgier i Słowacji.

☆ „Moskwa chce podzielić ukraińskie społeczeństwo, siejąc na Ukrainie chaos" – powiedział Wołodymyr Zełenski. Wywołanie chaosu na Ukrainie jest wyzwaniem równie trudnym jak spowodowanie suszy na Saharze.

☆ Były doradca Zełenskiego Oleksij Arestowycz udzielił wywiadu „Rzeczpospolitej": „Rosjanie […] rzucili się do inwestowania i rozwijania swojego przemysłu obronnego, nauczyli się omijać sankcje i wciągnęli do tego konfliktu Chiny, Koreę Północną i Iran. My z kolei nie zrobiliśmy nic poza wymuszaniem pomocy ze strony Zachodu. Nie podjęliśmy też żadnych fundamentalnych decyzji, by zmienić sytuację gospodarczą i rozwijać przemysł zbrojeniowy. Naiwnie zakładaliśmy, że pokonamy kraj, który kilkadziesiąt razy więcej inwestuje w zbrojeniówkę. Zachodnia pomoc nie jest wystarczająca, kompetencje naszych rządzących się wyczerpują, kontrofensywa się nie powiodła. […] Dostawy z Zachodu maleją, bo nikt nie wie, w jakim kierunku idzie Ukraina. W teorii jesteśmy krajem największej wolności, ale w rzeczywistości na Ukrainie naruszane są prawa człowieka, a nawet pojawia się rodzima odmiana putinizmu". Nic dodać, nic ująć.

☆ Arestowycz ocenił także postawę samego Zełenskiego: „Państwa pożerane przez korupcję i bezprawie, które prześladują ludzi za ich poglądy, nie wygrywają wojen. [Zełenski] z Napoleona zaczął przekształcać się w maleńkiego Putina". Dla Zachodu jest najważniejsze, że to ich Putin.

☆ Jak donosi „Financial Times", w ukraińskim wojsku narasta irytacja hurraoptymistyczną propagandą ekipy Zełenskiego. Taktyka ukraińskiej administracji zakłada, że wszystkie media oraz jednostki administracji mają „ściśle cenzurować złe wiadomości, takie jak liczba ofiar na Ukrainie czy udane ataki rosyjskie". To europejskie czy Putinowskie standardy?

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Milczenie pasterzy

Hierarchowie i nowy rząd już wiedzą, co mają robić, żeby w nowej rzeczywistości nic się Kościołowi nie stało.

Wśród pierwszych projektów ustaw zgłoszonych niemal natychmiast po rozpoczęciu prac nowo wybranego sejmu pojawiły się takie, które powinny spowodować, że Kościół ogłosi krucjatę. I każe topić wszystkich, którzy chcieliby się podpisać za „całkowitym wyłączeniem przestępności przerywania ciąży do jej 12. tygodnia za zgodą kobiety oraz wyłączeniem karalności przerywania ciąży za zgodą kobiety w sytuacji ciężkiego nieodwracalnego upośledzenia lub nieuleczalnej choroby płodu". Oraz oczywiście palić na stosach ludzi będących za „zagwarantowaniem prawa do świadczenia opieki zdrowotnej w postaci przerywania ciąży do końca 12. tygodnia jej trwania, a w określonych przypadkach także po upływie 12. tygodnia".

Zejść z linii strzału

W sejmie takie larum, a Kościół siedzi cicho. Rząd tworzą partie, które w czasie kampanii jednym głosem mówiły o likwidacji Funduszu Kościelnego, a biskupi jakby oniemieli.

„Jestem za opodatkowaniem księży. Nie rozumiem, dlaczego istnieje taka grupa, która nie podlega opodatkowaniu, która żyje naszym kosztem, w tym niewierzących, bo oni też się dokładają" – mówi w mediach Klaudia Jachira (Koalicja Obywatelska) i przyklaskują jej inni politycy, a prymas i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski nie odnoszą się do tych pomysłów nawet półsłówkiem.

Współrządząca Lewica chce ograniczenia, a potem usunięcia lekcji religii ze szkół. Dr hab. Marek Migalski domaga się wywalenia z uczelni wydziałów teologicznych, a na dodatek przez parlament przechodzi ustawa o finansowaniu przez państwo nieakceptowanych przez Kościół zabiegów in vitro. Biskupi Jędraszewski, Gądecki i Guzdek, zamiast uruchamiać tysięczne procesje ze świętymi obrazami i gromnicami w rękach, zachowują się, jakby nie zauważyli antykatolickiej rewolty.

Gdy w sejmie posłowie decydowali o in vitro, 21–24 listopada episkopat przebywał na Jasnej Górze na zebraniu plenarnym i corocznych rekolekcjach. W porządku obrad biskupów znalazły się takie sprawy jak „pierwsza rzymska sesja Synodu o synodalności, nowy program duszpasterski Kościoła w Polsce, ochrona dzieci i młodzieży oraz konflikt w Ziemi Świętej".

Zupełnie jakby 15 października nic się nie stało. Biskupi nie wyskoczyli nawet z mszą w intencji zagrożonych śmiercią zarodków poczętych in vitro. Woleli się modlić za zmarłych kardynałów i biskupów, a „za wstawiennictwem Matki Bożej Jasnogórskiej, Królowej Polski, biskupi polecali Bogu wszystkie sprawy Kościoła i Ojczyzny".

Znawcy episkopatu liczyli, że może choć Jędraszewski z czymś wyskoczy. Jak choćby w 2021 r., gdy upominał wiernych słowami: „Pamiętajcie, nowa Polska nie może być Polską bez dzieci Bożych!". Ale nie wyskoczył. Tak zresztą jak przez wszystkie powyborcze tygodnie. Zamiast wozić się po LGBT czy innych niemiłych mu kwestiach politycznych, arcybiskup krakowski nagle zamknął się w kościelnej klatce. Najpierw narzekał, że ludzie nie przyznają się do katolicyzmu, a innym razem, że w kościołach zamiast muzyki przyklepanej przez biskupów lecą utwory niemające kuriewnej pieczątki. A kiedy w końcu nie wytrzymał i stwierdził, że „ukoronowaniem zdobywanej w szkole wiedzy jest poznanie Boga", to nawet antyklerykalne media tego nie zauważyły.

Rys. WIDGET

Odwrócić uwagę

W tym czasie zajmowały się walką polskiego episkopatu z episkopatem Niemiec. Za Odrą bowiem tamtejsi biskupi postanowili ratować katolicyzm poprzez jego demokratyzację i zamiast – jak Bóg przykazał – coś kazać owieczkom, jęli się z tymi owieczkami bratać, wysłuchiwać ich postulatów i nawet je realizować.

Niemcy są zbyt blisko Polski, by taka zaraza nie dotarła i do polskich wiernych, więc szef KEP abepe Gądecki strzelił list do papieża. A w nim oskarżył Kościół niemiecki jeśli nie o herezję, to na pewno o szykowanie schizmy. Gądecki wiedział, co robi, bo papież Bergoglio wcześniej zakazał niemieckim biskupom iść tą drogą. Polscy biskupi wiedzieli wszak lepiej od niemieckich, że to, co media przypisują Franciszkowi, to kit. Papież poza miłym gadaniem jest bowiem konserwatystą miłującym tych katolickich biskupów, którzy nie wydziwiają, tylko utrzymują swoje stada w posłuszeństwie i bojaźni bożej, co powoduje, że kasa kościelna ma się jak najlepiej.

Oczywiście na list Gądeckiego odpowiedzieli Niemcy i dzięki temu polskie media miały czym się zająć i mogły przestać czepiać się biskupów o to, co kombinują z nową władzą.

Zmienić twarz

Bo – oczywiście – kombinują. I choć poszczególne koterie biskupów wzajemnie się nienawidzą, to w takich jak ta sytuacjach zawsze dochodzą do porozumienia. Dlatego dawni pisowscy frontmani zostali wycofani. To stąd milczenie choćby Jędraszewskiego. Twarzami polskiego Kościoła staną się więc inni. Dlatego kardynał Ryś daje wywiady dla „Wyborczej" i Onetu. Sprzedaje w nich obraz Kościoła, który przez ostatnie lata hulał sobie jedynie ku pokrzepieniu katolickich wyborców dotychczasowej opozycji.

„Teraz potrzebni będą tacy politycy, myślę, że i tacy duchowni, którzy zaproponują drogi do zbudowania społecznej jedności i będą w stanie pokazać wspólne wartości w taki sposób, który angażuje nie tylko własne plemię polityczne" – opowiada więc Ryś, po czym dodaje, że „aborcja i eutanazja są niedopuszczalne z pozycji moralnej. Także nadużywanie Kościoła i nadużywanie państwa w imię polityki jest niemoralne". Dla opowiadających o sobie, że są katolikami, posłów KO to miód na uszy. Domniemują bowiem, że skoro aborcja, którą obiecywali wyborcom, to dla kardynała kwestia moralna, odczepi się od jej legalizacji w warstwie prawnej. I będzie ją zwalczał tylko w odniesieniu do katolickich sumień.

Miłujący księże sukienki ludzie Hołowni i ci z PSL też każde słowo Rysia łykają jak pelikany. Szczególnie gdy mówi, że „konkretnej władzy wspierać nie można, za konkretną władzę można się modlić, z konkretną władzą można współpracować". Jeśli słowa Rysia to nie zaproszenie nowej władzy do tańca, to co to jest?

Rysiowi wtórują inni, do tej pory kochani przez TVN duchowni. Choćby dominikanin Paweł Gużyński. Gdy przywala w hierarchów w swoich wywiadach, budzi aplauz. I o to właśnie chodzi zarówno Gużyńskiemu, jak i Rysiowi. Kościół po wyborach ma się jawić jako zupełnie inny Kościół.

„Mentalna konstrukcja większości polskiego kleru i dużej części polskich katolików jest archaiczna, nieprzystająca do realiów współczesności. Oddolnej kampanii społecznej reagującej na palący problem dotyczący Kościoła i państwa nikt jeszcze w Polsce nie zrobił" – mówi zatem Gużyński i robi. Wszak zorganizował forum „Obecni w Kościele" i podsumował akcję „Kościół wolny od polityki", którą zorganizował Kongres Katoliczek i Katolików. Ani o forum, ani o akcji oczywiście nie wiedziały nawet media. Dla Kościoła był to wentyl bezpieczeństwa, coś, co stosuje od setek lat i co ma sprawić, że może o sobie mówić, że z każdą władzą mu po drodze.

To dlatego Gużyński równo jedzie po PiS, mówiąc: „Przecież mamy konstytucję i trójpodział władzy. Wystarczy spojrzeć na ostatnie lata, by zobaczyć, że mimo zapewnionego trójpodziału władzy on w zasadzie nie istniał, bo sądy, prokuratury, trybunały zostały zawłaszczone przez jedną siłę polityczną. Dokładnie tak samo to wygląda w relacji z Kościołem. Niestety, zła mentalność i zły obyczaj całkowicie zniszczyły podstawowe instytucje demokratyczne". Jeśli jednak ktoś sądzi, że zaraz duchowny katolicki zapowie, że Kościół wycofuje się tylko do głoszenia słowa Bożego i religii w salkach katechetycznych, to nic z tych rzeczy. Zdaniem Gużyńskiego w konkordacie nie ma sensu zmieniać nawet przecinka. Bo „w Polsce mamy dobry szkielet prawny".

Ten szkielet pozwolił de facto na zawłaszczenie przez Kościół dużej części państwa, o miliardach złotych nie wspominając. Ale tego Gużyński już nie mówi.

Pozorować porażki

Równolegle z nowym kościelnym otwarciem w mediach rozpoczęły się nieformalne spotkania biskupów z politycznym zapleczem rządu. Jak twierdzą duchowni biorący w nich udział, jest nieźle.

Podatków płaconych przez księży przez najbliższe lata nikt nie ruszy. Kościelnych etatów w armii, policji i innych służbach też. Dokładnie tak samo ma być z katechetami. Fundusz Kościelny pohula w obecnej formule dwa, trzy lata, a potem zniknie, by pojawić się pod nową nazwą.

Oczywiście żeby nowy rząd mógł pokazywać swój antyklerykalizm, Kościół zgodził się na cykliczne wrzutki problemów, które władza rozwiąże nie po myśli biskupów.

Pierwsze dwie akcje już się zaczęły. Pierwsza dotyczy działki w Warszawie, którą kilka lat temu obiecano Kościołowi pod zabudowę sakralną. Teraz Trzaskowski uznał, że kościoła tam nie będzie, bo postawi w tym miejscu szkołę. Zaprzyjaźniony ksiądz powiedział, że propozycja ta wyszła właśnie z Kościoła, któremu akurat kościół w tym miejscu do niczego potrzebny nie był.

Dokładnie ten sam motyw kierował hierarchami, którzy w województwie opolskim wyrazili chęć przejęcia 2600 hektarów państwowej ziemi rolnej, której wartość szacuje się na setki milionów złotych. W innych województwach na tzw. Ziemiach Odzyskanych Kościół również stara się o tysiące hektarów. Biskupi wiedzą, że wywoła to powszechne oburzenie i rząd będzie musiał pokazać swoje antykościelne oblicze i się nie zgodzi. Rząd wygra w oczach wyborców, Kościół i tak niczego nie straci, a zyska tego rządu wdzięczność. Wszyscy wyjdą na takiej współpracy dobrze, a potem jeszcze lepiej, bo przecież fundusze na remonty kościołów były, są i będą. Tak jak i dofinansowania prowadzonych przez duchownych szkół, mediów i czego się tylko da.

Rządy Tuska, który miał przed biskupami nie klękać, Kościół przecież już przerabiał. Tyle że ówczesnym Rysiem był kard. Nycz, a przez chwilę nawet Dziwisz. Dlatego myśląc o swojej przyszłości, biskupi są dziwnie spokojni.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Krzysztof Dymkowski, znany jako „łowca pedofilów", dokonał w środę 6 grudnia w Malborku obywatelskiego zatrzymania proboszcza parafii z powiatu sztumskiego. Według relacji Dymkowskiego 50-letni ksiądz, będąc świadomym, że pisze do osoby nieletniej, miał jej wysyłać zdjęcia swojego penisa, przeprosić, że „nie jest w pełni uniesiony", i umówić się na całonocne spotkanie. Dymkowski wraz z ekipą serialu dokumentalnego „Łowca pedofilów" dowiedzieli się, że klecha będzie robił zakupy w jednym z marketów na terenie Malborka i właśnie tam poskromili jurnego duchownego. Podczas interwencji proboszcz przyznał się do zarzucanego czynu. Sprawa została przekazana organom ścigania.

✚ Mateusz N., 39-letni proboszcz parafii Błogosławionej Jolanty w Kostrzynie (woj. wielkopolskie), został odwołany z pełnionej dotychczas funkcji po tym, jak Prokuratura Rejonowa we Wrześni postawiła mu zarzut wielokrotnego wykorzystania seksualnego osoby małoletniej poniżej 15. roku życia. Do zdarzenia doszło kilkukrotnie od września 2022 r. do stycznia 2023 r. w Kostrzynie. Jak podały lokalne media, śledczych o sprawie poinformowała poznańska kuria zaalarmowana przez matkę poszkodowanego chłopca. Śledztwo w sprawie Mateusza N. prowadzone było od kilku miesięcy. Podejrzany ksiądz nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Odmówił także składania wyjaśnień. Za popełnione przestępstwa grozi mu kara od dwóch do 12 lat więzienia.

✚ W niewielkiej parafii Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego w Szczałbie (woj. lubelskie) ksiądz proboszcz Andrzej P. obciąża parafian dodatkowymi opłatami za posługę na rzecz pani Ani pełniącej funkcje gospodyni i zakrystianki. Składka na gosposię wynosi 160 zł, natomiast za obecność pani Ani na pogrzebie trzeba uiścić kwotę 400 zł. Według relacji parafian proboszcz stosuje represje wobec osób niechcących płacić dodatkowych sum – odmawia im przyjęcia intencji mszalnych i uniemożliwia zakup tradycyjnych opłatków świątecznych. Oburzeni wierni zwrócili się o pomoc do biskupa diecezji siedleckiej. Sprawa ma charakter rozwojowy.

✚ Ksiądz Wojciech Węgrzyniak z Krakowa podzielił się w swoich social mediach refleksją na temat trudności ewangelizacyjnych w zależności od sytuacji ekonomicznej wiernych. W drodze wyjątku tym razem nie chodziło o zbieranie na tacę. „Wydaje się, że całościowo jako Kościół nie znaleźliśmy drogi, metody czy sposobu przekonania bogatych społeczeństw do Ewangelii. O ile w krajach biednych poszło lepiej, nie umiemy sobie poradzić z dotarciem z Ewangelią do mas i kultury tam, gdzie ludziom żyje się lepiej" – napisał ksiądz i dodał: „ W Polsce chyba nigdy nie było tak dobrze ekonomicznie jak w ostatnich 10–20 latach i nigdy tylu ludzi nie odeszło od wiary". Mamy nieodparte wrażenie, że przyczyn odejścia od Kościoła w Polsce należy zdecydowanie upatrywać gdzie indziej.

Rys. WIDGET

✚ Jak ujawnił polityk Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza, w październiku i listopadzie bieżącego roku należąca do ojca Tadeusza Rydzyka Fundacja Lux Veritatis otrzymała w sumie 376 tys. zł od Ministerstwa Zdrowia na zakup spotów telewizyjnych w Telewizji Trwam w ramach kampanii „Planuję długie życie". Pieniądze pochodziły z Narodowej Strategii Onkologicznej, której założeniem jest wprowadzenie kompleksowych zmian w polskiej onkologii. Cóż, Rydzyk sobie pożyje.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Kościół przyspawany do państwowego koryta.

Publiczną kasą pasieni

Przez katolickie media przetacza się dyskusja o zapowiadanej w kampanii wyborczej likwidacji Funduszu Kościelnego. Dr hab. Mieczysław Ryba, historyk, politolog i wykładowca akademicki, w „Aktualnościach dnia" Radia Maryja nazwał plany likwidacji funduszu „populistycznym atakiem łamiącym zasady praworządności" i „powyborczym rzucaniem mięsa radykalnej Lewicy". Zaznaczył też, że fundusz nie jest „niesamowitym wydatkiem" w skali budżetu kraju.

Choć zazwyczaj nic nie cieszy tak jak obstrukcja sukienkowych elit, radość z odsunięcia Kościoła od finansowego koryta może być przedwczesna.

Rys. OBYWATEL JANEK

Dobra martwej ręki

Powołany w 1950 r. na mocy ustawy z 20 marca o przejęciu przez państwo dóbr martwej ręki, poręczeniu proboszczom posiadania gospodarstw rolnych i utworzeniu Funduszu Kościelnego fundusz pierwotnie miał służyć jako rekompensata za nacjonalizację nieruchomości należących do Kościoła katolickiego. Miał znajdować się pod nadzorem ministra administracji publicznej, jednak miesiąc później władze zreorganizowały administrację centralną i powołały do życia Urząd do spraw Wyznań. Odtąd do 1989 r. Fundusz Kościelny znajdował się w strukturze UdSW jako samodzielny referat.

Fundusz Kościelny początkowo miał być finansowany przede wszystkim z dochodów nieruchomości martwej ręki przejętych przez państwo oraz uzupełniająco poprzez dotacje państwowe uchwalane przez rząd. Plan spalił na panewce, ponieważ nigdy nie zinwentaryzowano przejętych na rzecz skarbu państwa kościelnych dóbr ziemskich.

Od 1990 r. jedynym źródłem finansowania funduszu jest budżet państwa.

Fundusz Kościelny nie ma osobowości prawnej i usytuowany jest w strukturze Departamentu Wyznań Religijnych oraz Mniejszości Narodowych i Etnicznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Co istotne, obecnie fundusz działa na rzecz wszystkich Kościołów i innych związków wyznaniowych mających uregulowany status prawny w RP – także tych, którym państwo nie mogło niczego zajumać, gdyż powstały po 1950 r. Mimo że według rejestru MSWiA jest ich ponad 160, największym beneficjentem rządowej mamony jest oczywiście Kościół katolicki.

Pańskie oko klechę tuczy

Kwota przekazywana na fundusz była początkowo niewielka (poniżej 100 mln zł do roku 2012).

Od czasu przejęcia w 2015 r. władzy przez Prawo i Sprawiedliwość, wypasany dzięki rządowej hojności, spuchł do niespotykanych dotychczas rozmiarów. W 2015 r. dofinansowanie wynosiło 128 mln zł, natomiast w roku bieżącym – 216 mln zł. W ciągu zaledwie ośmiu lat wydatki na funduszowy żłób wzrosły o 88 mln zł.

Z projektu budżetu państwa na 2024 r. wynika, że szykuje się kolejny rekord. Według rządowych założeń FK miałby otrzymać kwotę 257 mln zł. Byłoby to aż o 41 mln więcej, niż wynika z założeń ustawy budżetowej na bieżący rok, i o 129 mln zł więcej, niż wynosiła kwota początkowa osiem lat temu. Od nadmiaru pieniędzy głowa nie boli, mimo to środowiska kościelne odczuły pieczenie cewki moczowej, bo niespodziewana wygrana tzw. totalnej opozycji w wyborach sprawiła, że szeroko zapowiadana likwidacja Funduszu Kościelnego przestała być groźbą teoretyczną. A oderwanie Kościoła od paśnika byłoby zerwaniem kościelnego skalpu razem z jajami.

Pieniądze z Funduszu idą m.in. na dotowanie lub całkowite finansowanie składek na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne duchowieństwa, wspieranie działalności charytatywnej prowadzonej przez Kościół, wsparcie działalności oświatowej i wychowawczo-opiekuńczej prowadzonej przez duchowieństwo oraz odbudowę i konserwację obiektów sakralnych o wartości zabytkowej.

Wszystkie palce do budki

Podczas tegorocznej kampanii wyborczej najgłośniej o potrzebie zmian relacji państwo–Kościół mówiła Lewica, postulując plan wprowadzenia państwa świeckiego. Jej postulaty obejmowały rozdział Kościoła od państwa na płaszczyźnie finansowej, czyli likwidację Funduszu Kościelnego oraz między innymi likwidację przywilejów podatkowych dla związków wyznaniowych.

Lider Polski 2050, obecny marszałek sejmu Szymon Hołownia również podkreślał konieczność likwidacji funduszu, optował też za koniecznością ograniczenia finansowania przedsiębiorstw prowadzonych przez duchownych. Jan Filip Libicki, senator PSL, w wywiadzie dla Radia Poznań opowiadał się za przyjaznym rozdziałem Kościoła od państwa, ale biorąc pod uwagę ewentualność likwidacji Funduszu Kościelnego, snuł dywagacje, w jaki sposób „zabezpieczyć tych, którzy dobrze wykonują swoją pracę i których wierni chcą, żeby tę pracę dobrze wykonywali".

Unicestwienie Funduszu Kościelnego było jednym z kluczowych punktów programu Koalicji Obywatelskiej na pierwszych sto dni rządzenia. Jej program oprócz tego obejmuje m.in.: zakaz finansowania działalności gospodarczej diecezji, parafii, zakonów i innych instytucji kościelnych z funduszy publicznych z wyjątkiem działań charytatywnych, humanitarnych czy edukacyjnych.

I zanim wystrzelą korki szampanów, że potrzebna jak rybie ręcznik pijawka państwowego budżetu prędko doczeka się wyroku śmierci, pozwolę sobie ostudzić przedwczesną radość. Bo tu zaczynają się schody.

Kłody tkwią w szczegółach

Już 11 lat temu rząd PO–PSL był bliski zniesienia Funduszu Kościelnego. Powstał wówczas przeanalizowany, skonsultowany i przeliczony we wszystkie strony projekt, który przewidywał, że każdy podatnik mógłby odpisać w ramach PIT na Kościół lub wybrany związek wyznaniowy 0,3 proc. podatku (tak jak obecnie 1,5 proc. na organizacje pożytku publicznego).

Analitycy rządowi przyjrzeli się, jak wyglądało odpisywanie 1 proc. na organizacje pozarządowe (taka możliwość została wprowadzona w 2003 r.), i oszacowali, że nauczenie ludzi korzystania z nowej możliwości zajmie trzy lata. Przez ten okres państwo miało dopłacać Kościołom do docelowej kwoty, jaką szacowano z odpisów podatkowych. Przy ówczesnym założeniu, że ok. 40 proc. podatników zdecyduje się zrobić taki odpis, dawałoby to kwotę 150 mln zł przy 100 mln zł ówczesnego Funduszu Kościelnego. Krótko mówiąc, oznaczało to, że państwo będzie przez trzy lata dokładać do Kościołów więcej niż do samego Funduszu Kościelnego. Na taki dodatkowy wydatek nie zgodził się ówczesny minister finansów Jacek Rostowski. Pomysł diabli wzięli, bo Polska była wtedy objęta procedurą deficytu i oszczędności szukano wszędzie.

Sto dni bezsensu

Pierwotne plany ogłaszane przez Koalicję Obywatelską prawdopodobnie będą oparte na starym założeniu. Koalicjanci także optują za powrotem do negocjacji z 2012 r. Można więc podejrzewać, że jeśli KO chce teraz w sto dni znieść Fundusz Kościelny, to sprowadzać się to będzie do uruchomienia całego procesu od nowa. Należy pamiętać, że PiS obniżył podatek PIT o 5 pkt proc., zatem wspomniane 0,5 proc. może nie wystarczyć. W międzyczasie organizacje pozarządowe wywalczyły podwyżkę 1 proc. do 1,5 proc. Analogiczna podwyżka dla Kościołów musiałaby wynieść 0,75 proc.

Negocjator umowy koalicyjnej z Lewicy Dariusz Wieczorek przyznał w mediach, że zmiana dotychczasowego systemu wsparcia dla Kościoła nie nastąpi szybko. Wedle jego wyjaśnień decyzja w tej sprawie zapadnie w ramach nowej dużej reformy podatkowej.

Koalicjanci obiecali półroczne vacatio legis, zatem realne zmiany mogą wejść w życie najwcześniej w roku 2025. Łącznie w latach 2012–2023 Fundusz Kościelny wyssał z państwa 1,6 mld zł.

IDALIA DUBICKA

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Wygląda na to, jakby* ***Tusk chciał dorównać poziomowi terroru Stalina.*** *[…] Myślę, że tego poziomu* ***prymitywnej mściwości*** *nie da się już nawet leczyć.*

Beata Kempa, X, 9 grudnia

■ *W całym procesie* ***in vitro*** *występuje szereg* ***wątpliwych moralnie*** *etapów, począwszy od sposobu pozyskania komórek rozrodczych od rodziców, aż po* ***abortowanie*** *wadliwie rozwijających się embrionów, wcześniej sztucznie wprowadzonych do łona matki. […] Przeprowadzono wiele badań w tym zakresie i wyniki zostały opublikowane w prestiżowych czasopismach naukowych, medycznych. Generalnie należy stwierdzić, że* ***dzieci z probówki mają*** *od dwóch do trzech razy* ***więcej wad wrodzonych*** *niż dzieci poczęte naturalnie.*

bp dr hab. Józef Wróbel, przewodniczący Zespołu Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych, PolskiFR, 8 grudnia

■ *Chyba właśnie znaleźliśmy się na takim etapie, w którym twórcy* ***nowej Europy*** *narzucają nam „bezdyskusyjny warunek europejskiej jedności". […] To dlatego tak bardzo zależało siłom europejskim na tej* ***radykalnej politycznej zmianie*** *w naszym państwie, na oderwaniu od władzy* ***Zjednoczonej Prawicy.*** *[…] Życzyłbym każdemu, kto w niedawnych wyborach oddał głos na ówczesną totalną opozycję, totalnie* ***dążącą do zniszczenia Polski,*** *albo zmarnował głos, oddając go na siły pozbawione sprawczości działania, aby słyszał do końca życia niezadławiony głos sumienia: „czy powinieneś tak postąpić?". Być może zaczynamy nowy etap naszej historii […], etap* ***walki o niepodległość.*** *Musimy być tego świadomi,* ***musimy być silni.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, „Myśląc Ojczyzna", TV Trwam, 10 grudnia

■ ***Kościół*** *odnosi się* ***z wielką delikatnością*** *do problemów osób z ich płciowością, czy to w postaci* ***homoseksualizmu,*** *czy też* ***transseksualizmu*** *w różnych jego odmianach.* ***Negatywnie*** *ocenia natomiast* ***uległość wobec tych skłonności,*** *tak samo jak negatywnie ocenia nieformalne związki partnerskie czy nieterapeutyczne manipulacje i ingerencje w integralność ludzkiego ciała.*

dalej Wróbel

■ *Skutkiem aktualnej sytuacji społeczno-politycznej będzie* ***większe zainteresowanie edukacją katolicką.*** *Rodzice będą starać się uchronić dzieci przed ideologią neomarksistowską spod* ***tęczowej flagi.***

ks. Janusz Chyła, X, 10 grudnia

■ ***Radio Maryja*** *to jest coś* ***maleńkiego.*** *Z trudem to utrzymujemy i każdego, kto słucha, ogląda, prosimy o wsparcie, o cegiełkę na to wspólne dzieło. Ileż to znaczy* ***na tle mediów lewicowych*** *czy z obcym kapitałem? Potrzeby są dużo większe, by cały naród był formowany, by wychowywać silne osobowości. Jesteśmy zalani potworną manipulacją. Tamte media są jak Goliat, mają nieprzebrane zasoby finansowe, są po zęby „uzbrojone".*

o. Tadeusz Rydzyk, wPolityce.pl, 6 grudnia

Wybrał **KLECHA**

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Serce, żołądek i inne narządy z Auschwitz.

Święty na eksport

Ulmowie to świeżaki, a JP2 zbyt pośmierduje to zgniłym mięsem, to oliwką dziecięcą, aby wciąż dobrze się sprzedawać. Nie chce być inaczej: naszym najlepszym świętym towarem eksportowym, i to jeszcze w czasach gremialnego powrotu antysemityzmu, powinien zostać Maksymilian Maria Kolbe. Franciszkanin, wydawca „Rycerza Niepokalanej", od 1937 r. w zarządzie głównym Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Misjonarz w Japonii, który nawrócił co najmniej jednego Japończyka, i to dyplomatę, tyle że w Polsce. Był to Hiroyuki Franciszek Kawai – zmarło mu się w Otwocku na gruźlicę w 1933 r. zaledwie po dziewięciu miesiącach chorowania.

Sam zaś Kolbe został zabity 14 sierpnia 1941 r. w KL Auschwitz zastrzykiem z fenolu. Ów zastrzyk był na dobicie, bo Kolbe pomimo szczerych chęci opierał się umieraniu… Dwa tygodnie przebywał w celi głodowej. Nie był tam sam, ale jako jeden jedyny ten los sobie wybrał. „Początkowo więźniowie krzyczeli z rozpaczy, bluźniąc przeciw Bogu. Później pod wpływem ojca Kolbego zaczęli się modlić i śpiewać pieśni do Matki Najświętszej. Zakonnik dodawał im otuchy, spowiadał i przygotowywał na śmierć. Stojąc lub klęcząc, wpatrywał się pogodnym wzrokiem w dokonujących inspekcji esesmanów" – zeznał po wojnie chorzowskiemu notariuszowi numer 1192, czyli więzień KL Auschwitz Bruno Borgowiec.

„Miałem bardzo trudny okres w życiu, kiedy przeszedłem przez ciężką chorobę" – dopiero co zwierzył się Polakom amerykański reżyser włoskiego pochodzenia Antonino D'Ambrosio. „Bardzo długo nikt nie mógł wykryć, co mi jest. Ze względu na swoje cierpienie, musiałem bardzo dużo czasu przebywać w swoim pokoju. W którymś momencie ten pokój zamienił się dla mnie w celę. Zainspirowałem się wtedy postacią świętego Maksymiliana Kolbe, który spędził ostatnie dni swojego życia w celi. […] pokazywał [Kolbe] innym ludziom, jak można cierpieć. Ja chciałbym pokazać, jak z godnością przechodzić przez takie momenty w życiu" – zapowiedział buszujący w kraju nad Wisłą filmowiec. Kłopot w tym, że przez rzeczone momenty z godnością przejść nie można. I to jest największe kłamstwo, które zostawił nam Kolbe, a które uporczywie posyłamy w świat. Kłamstwo.

Grając umieranie

Jeśli dane nam będzie dożyć do 2025 r. i do cna nie zwariować, to możemy wówczas wybrać się do kin na film „Triumf Serca" – tak, tak, wielką literą i jedno, i drugie. To wspomniana koprodukcja międzynarodowa o rzeczonym świętym. Reżyseruje – już wiemy – Antonino D'Ambrosio, a w postać Kolbego wciela się Marcin Kwaśny. „Do tej roli przygotowywałem się przez dwa miesiące, bo właśnie na tyle przed rozpoczęciem zdjęć dowiedziałem się, że zagram duchownego. Przygotowania rozpoczęły się od diety, bo wiedząc, że będziemy kręcić sceny umierania w bunkrze głodowym, po prostu musiałem schudnąć. Dokładnie udało mi się zrzucić siedem kilogramów, choć tak naprawdę przydałoby się jeszcze więcej. Reżyser zdecydował jednak, że to wystarczy. Ściąłem też włosy, ale to nic. Ważniejsze było to przygotowanie od strony duchowej. Poznać to, jak myślał nasz święty. Dobrze, że taki film powstaje, bo pokazuje go trochę od strony ludzkiej; bardzo bliskiej nam, Polakom, to, jakie miał ogromne serce dla swoich współtowarzyszy niedoli. Film to perspektywa umierania, dwóch tygodni śmierci w bunkrze głodowym, ale poprzedzielana wspomnieniami o świętym Maksymilianie Kolbe" – wyznał ów artysta dramatyczny.

Połączony z Bogiem

W duchowe przygotowanie Kwaśnego wierzymy absolutnie. Od kilku dobrych lat aktor udziela się w ruchach charyzmatycznych, fascynuje się stygmatykami i w sumie to nie ma polskiej produkcji narodowej czy narodowo-katolickiej, w której by nie wziął udziału. Żona była i obecna, dzieci, wyżeł i odstawienie butelki również pomagają w poszukiwaniach celu, a raczej Celu. I pomyśleć, że niegdyś Kwaśny to był śliczny chłopczyk, który uparcie udawał niegrzecznego, a dziś jest to toksyczny koleś, który udaje niewiniątko. „Grając umieranie, nie jest łatwo. Myślę natomiast, że oddajemy w ten sposób hołd tym bezimiennym ludziom, bo oprócz Maksymiliana tak naprawdę nie wiadomo, kim było pozostałych dziewięciu uczestników tego procederu. My tak jakby dajemy im twarze i wydobywamy ich z historii" – mówi.

Tu przypominamy, choć pewnie wie to każde dziecko w przedszkolu – przynajmniej kiedy my byliśmy dziećmi i walczyło się z nieistniejącym komunizmem, to każde dziecko wiedziało – Kolbe umarł w zamian za Franciszka Gajowniczka. Gajowniczek został losowo wytypowany do zagłodzenia w ramach kary za ucieczkę współwięźnia. Dziesięciu za jednego… Kolbe poprosił na placu obozowym o to, aby mógł zająć miejsce Gajowniczka. Dlaczego? Gajowniczek był ojcem i mężem. Kolbe – katolickim księdzem. Samotnikiem. Czy też raczej był singlem w przyszłych objęciach Boga. Dlaczego Niemcy na to przystali? Lagerführer Fritzsch był najwyraźniej człowiekiem pragmatycznym, ale i bez zbytniej wyobraźni. Właśnie wyprodukował świętego – na nowe czasy. Inna sprawa, że te nigdy nie miały przyjść. Tak jak i Gajowniczek miał nie doczekać wolności, ale… doczekał. Co ma wisieć, nie utonie.

Rys. TOMASZ WIATER

Co kierowało Maksymilianem Kolbe, gwardianem klasztoru w Niepokalanowie (największego klasztoru na świecie, mieszczącego 700 zakonników i kandydatów na zakonników w dniu wybuchu II wojny światowej)? Michał Kwaśny na pewno nam wyjaśni. Zdaje się, że ma bezpośrednie połączenie z Bogiem: „Przez 18 lat byłem poza Kościołem, poza Panem Bogiem. Byłem antykatolikiem, antyklerykałem. Powiedziałem jedno zdanie: Panie Jezu, jeśli istniejesz, to mi pomóż, bo sobie nie radzę. To była łaska wiary".

Jak można cierpieć

„Kto z nas nie pamięta niezrównanego faktu? »Jestem kapłanem katolickim« – mówi ojciec Kolbe, ofiarując siebie na śmierć, i to na jaką śmierć! Dla ratowania życia skazanego w mściwym odwecie, nieznanego mu towarzysza niedoli. Był to wielki moment: ofiara została przyjęta. Zrodziła się ona z serca nawykłego do wyrzeczeń, jakby w naturalnym odruchu posługi kapłańskiej" – powiedział papież Paweł VI, beatyfikując Kolbego w październiku 1971 r. Ostatecznie kanonizowano go w 1982 r. Aby to uczynić, uchylono obowiązujący wówczas kanon 2138 § 1 prawa kanonicznego. Obyło się bez wymaganych dwóch kolejnych cudów za wstawiennictwem Kolbego, co paradoksalnie czyni całą sytuację poważniejszą i… bardziej humanistyczną. Czy jednak tzw. ofiara Kolbego to dowód, że „ojciec Maksymilian Kolbe, więzień obozowy, upomniał się w obozie śmierci o prawo do życia niewinnego człowieka – jednego z milionów" – jak chciał Wojtyła? A może to po prostu dobry marketing? Skoro tak czy siak umierasz, to może lepiej zdechnąć z nadzieją na świętość niż bez niej?

Może Kolbego, potwornego żydożercy, nie ominęła refleksja, że również i jego antysemityzm, powtarzany do znudzenia w „Rycerzu Niepokalanej", „Małym Dzienniku", „Rycerzyku Niepokalanej", „Małym Rycerzyku Niepokalanej", „Biuletynie Misyjnym", „Seibo no Kishi" (japońska wersja „Rycerza Niepokalanej"), zbudował cele głodowe, komory gazowe i krematoria w KL Auschwitz…

A może sierpień był wyjątkowo gorący tamtego roku. Jedno jest pewne: Kościół Wojtyły wykorzystał osobistą, intymną decyzję Kolbego do siania propagandy – „ojciec Maksymilian Maria Kolbe potwierdził w ten sposób prawo Stwórcy do życia niewinnego człowieka, dał świadectwo Chrystusowi i miłości". Panie Wojtyła, nieważne, gdzie Pan jest albo Pana nie ma, Kolbe nie potwierdził prawa Stwórcy do życia niewinnego człowieka. Nigdzie tam Stwórcy nie było ani żadnych Jego praw… Co najwyżej świadomość, że to człowiek ma władzę nad innym człowiekiem. Władza zaś człowieka słabszego nad silniejszym – władza Kolbego nad Lagerführerem Fritzschem – jest tak niesłychana, że domaga się świętości.

KATARZYNA JABŁOŃSKA-CZYŻ

WIARA CZYNI CZUBA

1. W Barranquilla w północnej Kolumbii od 2 grudnia można zwiedzać największą szopkę na świecie. Megaszopka powstała w roku 2010 z inicjatywy Kolumbijczyka Fabiána Rojasa i była już m.in. w Bogocie, Medellín i Cali. Zajmuje jakieś dwa hektary, występuje w niej 90 żywych osób odgrywających faryzeuszy, rzymskich legionistów, króla Heroda w pałacu, Józefa w warsztacie stolarskim, kupców na rynku w Betlejem, Persów, mędrców, poborcę podatkowego, a nawet półnagie tancerki prezentujące taniec brzucha. Szopka ma cztery rekordy Guinnessa: za największą szopkę na świecie, największą liczbę postaci w szopce, największą liczbę dobrych życzeń umieszczanych przez odwiedzających w Ścianie Płaczu oraz największą liczbę ruchomych replik ludzkich w szopce.

2. Lewicowy rząd Hiszpanii walczy z uliczną ofensywą modlitewną. Katolicy okupują place i ulice hiszpańskich miast, najchętniej w okolicy siedzib Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE), głośno odmawiając różaniec, a policja usiłuje ich przeganiać i wlepia im mandaty. „Ten rząd rozpoczął autentyczne prześladowania chrześcijan. Nie powstrzymają nas. Ten rząd wysyła pokojowo nastawionych ludzi do więzienia za zwykłą modlitwę, jednocześnie anulując wszelkiego rodzaju wyroki skazujące swoich sojuszników" – tłumaczy Polonia Castellanos, założycielka organizacji Prawnicy Chrześcijańscy. Chodzi o plany lewicowego rządu dotyczące abolicji wobec Katalończyków skazanych na wieloletnie więzienie za zorganizowanie referendum niepodległościowego. Tylko katolicy potrafią odmawiać różaniec w intencji wsadzenia kogoś do pierdla za działalność polityczną.

3. Przez ponad 40 lat stan Missisipi szczycił się jednym z najwyższych w USA odsetkiem zaszczepionych dzieci. Prawo dotyczące obowiązkowych szczepień szkolnych nie uznawało żadnych wyjątków poza zdrowotnymi. Ostatnio jednak sędzia federalny uznał pozew grupy rodziców, którzy zażądali zwolnienia swojej progenitury z obowiązku szczepień z przyczyn religijnych. Autorzy pozwu uzasadniali, że nie mogą zaszczepić dzieci przeciwko odrze, śwince, różyczce i polio, albowiem w procesie opracowywania niektórych z tych szczepionek użyto komórek uzyskanych z płodów po aborcji. To oczywiste. Każdy kochający rodzic woli mieć dziecko z chorobą Heinego-Medina niż zbrukane linią komórkową uzyskaną z 12-tygodniowego płodu usuniętego metodą sztucznego poronienia w 1964 r.

4. Folketinget – duński parlament – przyjął ustawę o bluźnierstwie. Ustawa, która zakazuje „niewłaściwego traktowania pism o istotnym znaczeniu religijnym dla uznanej wspólnoty religijnej" – w domyśle palenia Koranu – pod karą grzywny lub więzienia do dwóch lat, została przyjęta 94 głosami przeciw 77. Jest to szczególnie smutne, albowiem nie dalej niż w 2017 r. ten sam Folketinget zniósł pochodzącą z 1683 r. ustawę zabraniającą obrażania religii. „Religia nie powinna dyktować, co wolno, a czego nie wolno mówić publicznie. Daje to religiom całkowicie nieuzasadniony przywilej" – tłumaczył wówczas poseł wnioskodawca Bruno Jerup. Teraz z wnioskiem o przywrócenie sankcji wystąpiło ministerstwo sprawiedliwości, tłumacząc, że „systematyczne drwiny" z islamu przyczyniły się do nasilenia zagrożenia terroryzmem w Danii.

5. Niejaki James Randolph, pastor Międzynarodowego Kościoła Żywego Słowa z Silver Spring w stanie Maryland, został aresztowany w związku z siedmioma zarzutami dotyczącymi przestępstw seksualnych, w tym jedynym dotyczącym „nagabywania w celach niemoralnych" trzynastolatka. Wyszedł za kaucją wynoszącą pół miliona dolarów. Kościół zabrał głos w sprawie: „Jesteśmy świadomi aresztowania Jamesa Randolpha, jednego z naszych duchownych, i zarzutów przeciwko niemu. Co ważne, zarzuty nie dotyczą Kościoła, a domniemane czyny nie miały miejsca w kościele". Bardziej energicznie broni Randolpha przyjaciel – trzeba trafu, też pastor – Jeremy Pfeil z Kościoła Przyśpieszenia w Amarillo: „Nie pozwolę, by ludzie, którzy rzucają oszczerstwa na mojego przyjaciela, się tu pojawiali. Zostaną zastrzeleni i zlikwidowani. To jest wojna duchowa".

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

6. Edoardo Santini, włoski model, który w wieku 17 lat wygrał konkurs na najprzystojniejszego mężczyznę we Włoszech, ogłosił, że wstępuje do seminarium, albowiem przez cztery lata swojej kariery w modelingu – dziś ma lat 21 – spotkał ludzi, którzy „pokazali mu, co to znaczy »być Kościołem«". Młodzieniec wyjaśnia, że najpierw pojechał na Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie, gdzie „pomiędzy śmiechem, tańcem, podskakiwaniem" odkrył, że „Kościół jest piękny", a następnie zamieszkał z dwoma księżmi i było to „najpiękniejsze doświadczenie w jego życiu". Dzielenie życia z księżmi pozwoliło mu „znaleźć w codzienności odpowiedź, na którą liczył". Sprzeciw wyraziła babcia Edoarda, która „oczekiwała od swojego wnuka czegoś innego". Ciekawe, co ona wie, czego my nie wiemy.

7. Katolicka agencja informacyjna CNA z przejęciem opowiada historię błękitnego banneru z hasłem „L'Immacolata Vincerà" (Niepokalane poczęcie zwycięży), który jest eksponowany podczas modlitwy „Anioł Pański" na placu św. Piotra co tydzień od 1994 r. Przynoszą go członkowie sekty o nazwie Dom Maryi, złożonej z księży, kobiet konsekrowanych, rodzin i młodych dorosłych. Ksiądz Michele Reschini, odpowiedzialny w organizacji za formację młodych, wyjaśnia: „Pośród burz współczesnych czasów, pośród lodowatych wiatrów sekularyzmu, modernizmu i relatywizmu, pod groźbą apostazji i bałwochwalstwa Kościół pozostający z Maryją zatriumfuje"… Fakt, że w trzeciej dekadzie XXI w. jacyś młodzi wierzą jeszcze w niepokalane poczęcie, jest triumfem samym w sobie.

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Olimpijski sen PiS-u

Jest jeszcze trochę kasy do przytulenia.

Niedawno („NIE” 47/2023) pisałem o tym, jak działacze PiS cichcem zawładnęli Polskim Komitetem Olimpijskim. Pomaleńku wprowadzali do władz swoich ludzi, żeby wreszcie w kwietniu tego roku zmanipulować walne zgromadzenie i na prezesowskim stołku posadzić swojego człowieka Radosława Piesiewicza, przyjaciela ówczesnego ministra aktywów państwowych Jacka Sasina. Żal zrobiło mi się polskiego sportu, bo gdzie pojawia się Sasin, tam pewna jest porażka. Niby zepsutego nie da się zepsuć, a polski sport olimpijski nie ma się dobrze, ale zdolności byłego wicepremiera są nieograniczone.

Przypuszczałem, że to wyłącznie typowy dla partii do niedawna rządzącej skok na kasę. W sporcie olimpijskim do wzięcia są naprawdę duże pieniądze. Duet Sasin–Piesiewicz mógł stworzyć zgrabny pas do transferowania pieniędzy ze spółek skarbu państwa do PKOl, a przy okazji – prywatnych kieszeni. To wszystko zresztą w majestacie prawa, bo prezesowi za pozyskanie sponsora należy się prowizja, a jakiś procent od sumy zaksięgować można jako koszt wykonania całej operacji. Tymczasem może chodzić o coś więcej niż kasa.

Po prostu się należy

Poprzedni prezes PKOl Andrzej Kraśnicki, człowiek z bogatej rodziny i całkowicie niezależny, nie brał za działalność w sporcie ani złotówki. Po tajemniczej wizycie w Pałacu Prezydenckim (nie wiadomo, czy prezydent osobiście uczestniczył w spotkaniu) niespodziewanie zrezygnował z ubiegania się o kolejną kadencję. Ogłoszono wówczas, że władze komitetu wypłacą mu 1 proc. od sum pozyskanych od sponsorów w czasie jego urzędowania. Zebrało się coś ok. 1 mln euro. Zrodziło się podejrzenie, że prezesa kupiono, a w zamian on zostawia otwarte drzwi dla pisowskiego nominata. Kraśnicki stanowczo i publicznie odmówił przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy. Nowy prezes niczego podobnego nie deklaruje. Regulamin, który wkrótce zostanie przyjęty, wprost mówi, że prezesowi należy się wynagrodzenie.

Jedyne, co pokrzyżowało misterny plan pisowskiej ekipy, to wynik wyborów parlamentarnych z 15 października. Wcześniej wszystko było jasne:

Sasin daje państwowe pieniądze, zdecydowana ich większość rzeczywiście idzie na sport, ale coś tam po drodze przykleja się do rąk. Plan się zawalił w chwili, w której dobrodziej Sasin musiał opuścić ministerialny gabinet.

Dla Radosława Piesiewicza – w rozmowach między ludźmi sportu nazywanego czasem Pisiewiczem – wynik wyborów parlamentarnych okazał się cenną nauczką. Wcześniej najprawdopodobniej w ogóle nie brał pod uwagę, że partia Jarosława Kaczyńskiego może stracić władzę. Teraz należało zatroszczyć się o swoją przyszłość. Najlepiej przedłużyć kadencję dożywotnio, a jeśli się nie uda, to przynajmniej do 2032 r.

Inspiracja ze Wschodu

Jedno spojrzenie na Wschód i już wiadomo, co robić. Władimir Putin dzięki wprowadzanym przez siebie zmianom w konstytucji Federacji Rosyjskiej rządzi wielkim krajem już 23 lata. Polski Komitet Olimpijski nie ma żadnej konstytucji. Ma za to regulamin, który też można zmienić. 19 grudnia zostanie zmieniony.

Regulamin, jak to regulamin, dużo tam obowiązkowych formułek i prawniczego języka. Najważniejszy jest punkt 2. w 15. artykule: „Pierwsza kadencja nowego Prezesa PKOl trwa 8 lat, a druga i kolejne kadencje 4 lata”. Żeby nie było żadnych wątpliwości, jest jeszcze punkt 5.: „Kadencja Prezesa PKOl wybranego w dniu 22 kwietnia 2023 r. kończy się dnia 31 października 2032 r.”.

Igrzyska olimpijskie rozgrywane są co cztery lata. Dotychczas po igrzyskach odbywało się walne zgromadzenie PKOl i albo akceptowało dotychczasowego prezesa, albo wybierało nowego.

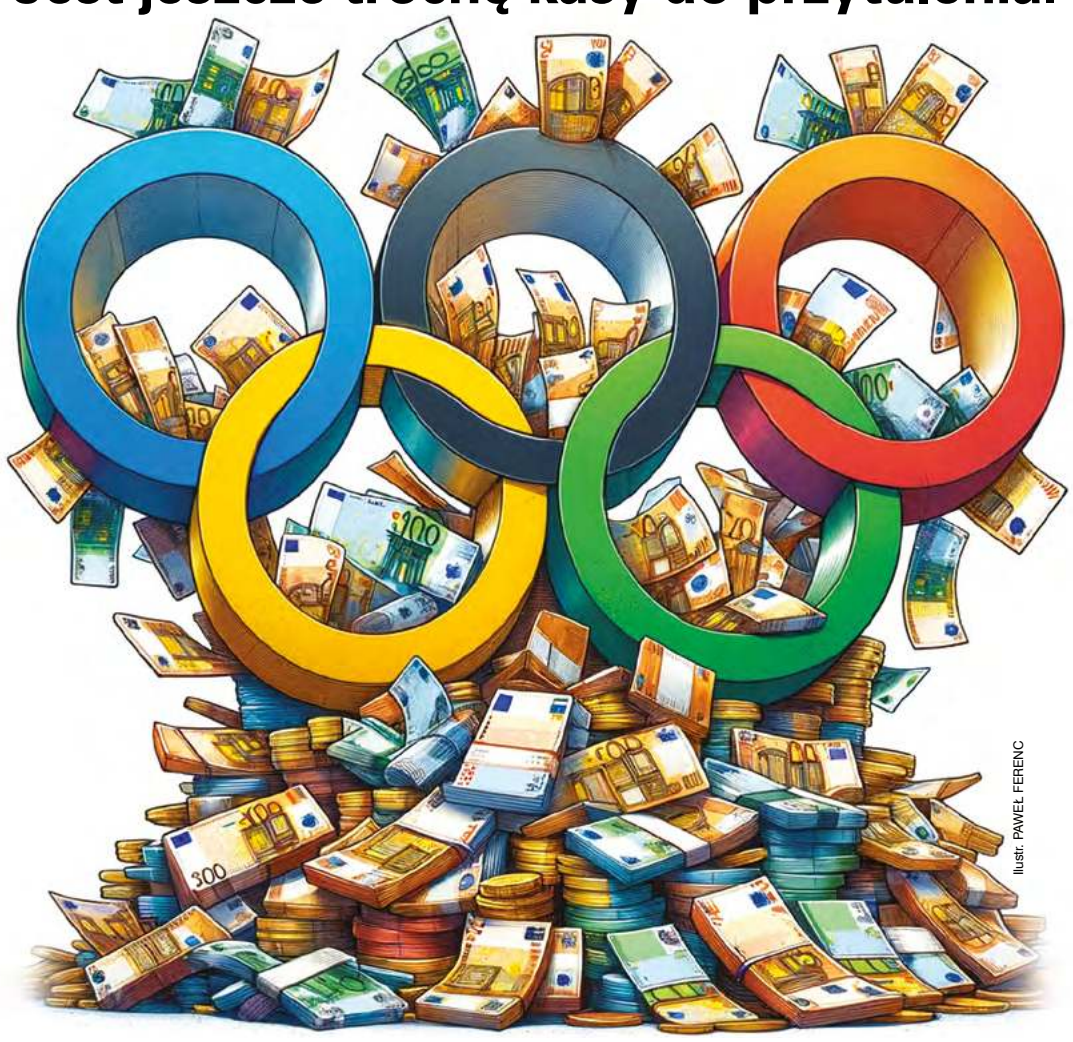
Ilustr. PAWEŁ FERENC

Krótko mówiąc, prezes był rozliczany za przygotowania do imprezy. Logiczne.

Czym podległe Piesiewiczowi władze tłumaczą konieczność zmiany regulaminu? Oczywiście nie chęcią zabetonowania stanowiska prezesa. Argumentem ma być fakt, że władze Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego mają ośmioletnią kadencję. Ale co ma jedno do drugiego? Trudno rozliczać przewodniczącego MKOl po każdych igrzyskach, bo on swojej reprezentacji do nich nie wystawia, nie da się policzyć medali zdobytych przez urzędniczki i urzędników z Lozanny.

Warszawskie przymiarki

Jaka jest w tym wszystkim rola prezydenta RP? Dość tajemnicza. Już pisałem o spotkaniu w pałacu przed zgromadzeniem wyborczym PKOl, po którym Andrzej Kraśnicki zrezygnował z kandydowania „dla dobra sportu”, jak wyjaśnił. Wcześniej wydawał się pewniakiem. Jakich argumentów użyto do skłonienia go do podjęcia decyzji, zapewne nigdy się nie dowiemy.

Teraz sprawa wygląda na jeszcze bardziej zagmatwaną. Jak wiadomo, zaprzysiężenie rządu premiera Donalda Tuska trzeba było opóźnić, bo prezydent Andrzej Duda udał się w podróż służbową do Szwajcarii, oficjalnie w celu wizyty w jakiejś agendzie ONZ. Na pewno do tego spotkania doszło. Co ciekawe, w składzie prezydenckiej delegacji znalazł się prezes PKOl Radosław Piesiewicz. W Lozannie doszło więc też do spotkania z władzami MKOl i z przewodniczącym Thomasem Bachem.

Kadencja Bacha skończy się niedługo, bo w 2025 r., i wszędzie szuka on poparcia, bo ponowny wybór wcale nie jest pewny. Czego może chcieć polska delegacja w zamian za poparcie? Wystarczy sobie przypomnieć wypowiedź prezydenta Andrzeja Dudy, który nawoływał do podejmowania najambitniejszych planów, takich jak organizacja igrzysk olimpijskich w Warszawie w 2036 r.

Zaczęto już nawet przymiarki, w jakich obiektach miałaby się odbywać impreza. Oczywiście w stolicy musiałby powstać nowy ogromny stadion, bo ten istniejący i nazywający się Narodowym nadawałby się co najwyżej do przeprowadzenia turnieju piłkarskiego. Wiele imprez wyprowadzono by poza stolicę (co jest zresztą coraz powszechniej stosowaną praktyką), a wioskę olimpijską zlokalizowano by na terenie wyburzonego lotniska Okęcie. Gdyby nie ci paskudni Polacy, którzy godzinami stali przed lokalami wyborczymi, żeby odsunąć PiS od władzy, plany te wyglądałyby na realne, a minister sportu Kamil Bortniczuk mógłby marzyć o nowej funkcji przewodniczącego komitetu organizacyjnego Igrzysk Olimpijskich Warszawa 2036.

Igrzyska za poparcie?

Rozśmiesza mnie fakt, że jako argument potwierdzający wspaniałe możliwości organizacyjne naszych działaczy podano fakt perfekcyjnego przeprowadzenia igrzysk europejskich w Krakowie, imprezy niszowej, niecieszącej się żadnym zainteresowaniem, charakteryzującej się licznymi niedociągnięciami, a przy tym wszystkim deficytowej.

O tych wspaniałych olimpijskich planach zapomniano oczywiście poinformować prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego, a nie sądzę, żeby był on entuzjastą projektu, który pochłonąłby olbrzymie pieniądze, a korzyści byłyby wątpliwe. Teraz nie wiadomo nawet, co będzie z lotniskiem Okęcie, bo nieznana jest przyszłość CPK. Przypuszczam, że i tak niezbędne byłoby przeprowadzenie referendum wśród mieszkańców, i choć nie lubię hazardu, ośmielę się zaryzykować stwierdzenie, że frekwencja byłaby w nim wyższa niż w słynnym pisowskim referendum przy okazji wyborów, a wynik jednoznacznie negatywny.

Przewodniczący MKOl Thomas Bach wykonuje nerwowe przedwyborcze ruchy. Wygląda jak nasz ekstraklasowy napastnik, który tak długo kiwa piłką, aż się zakiwa na amen. Rozumiem, że na swoim stanowisku musi się starać godzić różne interesy, poszukiwać kompromisów. Taka jego robota. Jeśli nie tak dawno zapadła w MKOl decyzja, że w igrzyskach w Paryżu brać będą mogli udział sportowcy z Rosji i Białorusi, coś się we mnie burzy. Nie uspokajają mnie zapewnienia, że do Paryża wyjadą tylko ci, którzy nigdy oficjalnie nie poparli wojny z Ukrainą, nie mają związków z organizacjami wojskowymi i będą występować pod neutralną flagą.

Ale też rozumiem Thomasa Bacha, który musi szukać poparcia w krajach Afryki i Ameryki Południowej. Tam ocena wydarzeń na Ukrainie jest inna niż u nas. W Afryce pokutuje wciąż powstały za czasów ZSRR mit Rosji, kraju, który przynajmniej oficjalnie walczył z imperializmem i kolonializmem, a w wielu państwach Ameryki Południowej to Stany Zjednoczone postrzegane są jako wielki brat, który mieszał się i jeszcze miesza do ich spraw. Czy teraz Bach poszuka poparcia dla tej decyzji u prezydenta Dudy i prezesa Piesiewicza? Obiektem handlu mogą przecież być te warszawskie igrzyska, o których rzekomo marzą ambitni Polacy.

Zawsze zostaje plan B

Nie jestem wielbicielem Bacha, oczywiście chodzi mi o działacza MKOl, a nie Johanna Sebastiana, genialnego kompozytora epoki baroku. Ciekawy jestem, jak będzie sobie radzić z problemami, które decyzja o dopuszczeniu do startu Rosjan i Białorusinów zrodzi na sportowych arenach, a przecież o sport w tym wszystkim powinno przede wszystkim chodzić. Trwają kwalifikacje, niektóre się zakończyły. Czy reprezentanci Rosji i Białorusi zostaną dopuszczeni do rywalizacji niejako ponadprogramowo? Wielu wybitnych ukraińskich sportowców poległo albo na froncie, albo w trakcie przygotowań. Czy im medale wręczać będą pośmiertnie? Co zrobić w przypadku, gdy o kwalifikacji ma zadecydować pojedynek ukraińsko-rosyjski, a Ukrainiec lub Ukrainka ze względu na wojnę odmówią udziału? Dyskwalifikować przedstawicieli brutalnie napadniętego kraju?

19 grudnia 2023 r. będzie ważnym dniem dla polskiego sportu. Przyjęty zostanie nowy regulamin PKOl, który nie tylko przedłuży o osiem i pół roku władzę Radosława Piesiewicza, ale wprowadzi też nowe zasady wyborów prezesa. Dotychczas związkom sportowym działającym w dyscyplinach olimpijskich przysługiwały trzy głosy, teraz będzie przysługiwać pięć. Nie wiem, jaki za tym stoi chytry plan, nie przeanalizowałem tego, ale na pewno stoi. Ludzie związani z PiS nauczyli się, podobnie jak szachowi arcymistrzowie, przewidywać kilka ruchów do przodu. Jeśli coś pójdzie nie po ich myśli, zawsze mają przygotowany plan B.

Dzięki starym znajomościom w środowisku sportowym opisałem w kwietniu atmosferę, w jakiej wybierano Radosława Piesiewicza na prezesa. Kilku dziennikarzy protestowało przeciw tej szopce. Teraz trzeba już krzyczeć! I nie usprawiedliwiać się, że są pilniejsze sprawy.

Organizacja wielkiej sportowej imprezy zawsze stanowi okazję do kradzieży. Mistrzostwo osiągnęli w tym Rosjanie, szykując się do zimowych igrzysk w Soczi. Powstały tam najdroższe obiekty w historii, a z drugiej strony gigantyczne prywatne majątki. Nawet letnie igrzyska w Tokio, kraju – wydawałoby się – do bólu praworządnym, zrodziły jakieś księgowe znaki zapytania.

Igrzyska europejskie w Krakowie, z tego co wiem, do dziś nie zostały rozliczone. Zrobiło się o tym cicho, a ta cisza zapewne niektórych ludzi bardzo cieszy.

Czy igrzyska w Warszawie, przeprowadzone pod egidą pisowskich niedobitków, dają nam gwarancję finansowej przejrzystości? Ta ekipa przez osiem lat dobrze się nauczyła, jak przytulać publiczne pieniądze.

Zapytany, co słychać w kraju, znany rosyjski historyk Nikołaj Michajłowicz Karamzin odpowiedział krótko: „Kradną”. Wyborcy odsunęli PiS od władzy, ale czy lapidarna ocena żyjącego na przełomie XVIII i XIX w. historyka przestała być aktualna?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Andrzej Rozenek – zastępca redaktora naczelnego, Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Agnieszka Wołk-Łaniewska, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).
WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.
ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl
Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.
DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl
Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl
„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7^{00}– 17^{00}. (koszt połączenia wg taryfy operatora).
prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl
Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00
Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0
Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
Numer zamknięto: **str. 1–16 – 13.12.2023 r.**

eprasa.pl a3aa8fdd3e

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zastanawia się nad sobą. **JOANNA SENYSZYN** przygląda jej się ze zdziwieniem, bo Wołk nie jest znany z autorefleksji.

Wołk-Łaniewska: – Joanno droga, mam do ciebie poważne pytanie.

Senyszyn: – Już się boję…

– Czy jesteś antysemitką?

– Mam kilka fobii: dyskryminuję głupotę, chamstwo, bezczelność. Ale Żydów nie.

– A ja chyba jestem. Przynajmniej tak twierdzi mój przyjaciel z Izraela. Dotychczas uważałam, że jest ździebko niesprawiedliwy, ale teraz już nie jestem taka pewna…

– Tyle się znamy, a nie zauważyłam. Musiałaś się dobrze maskować.

– Wcześniej mój antysemityzm przejawiał się w tym, iż nie uważałam, że Państwo Izrael ma prawo robić Palestyńczykom to, co Niemcy robili Żydom.

– Bo nie ma!

– A widzisz, samo postawienie tej kwestii jest już antysemickie.

– Czyżby moja odpowiedź też?

– Oczywiście. Tak stanowi definicja antysemityzmu opracowana przez Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście. Punkt 10: „Współczesne przejawy antysemityzmu w życiu publicznym […] mogą, biorąc pod uwagę ogólny kontekst, polegać między innymi na: porównywaniu współczesnej polityki Izraela z polityką nazistów". Do tego dochodzi jeszcze punkt 7: „na odbieraniu Żydom prawa do samostanowienia, np. przez wyrażanie poglądu, że istnienie Państwa Izrael jest przedsięwzięciem rasistowskim". Ja co prawda nie twierdziłam, że „istnienie Izraela jest przedsięwzięciem rasistowskim", tylko że Izrael jest rasistowski, ale w takie subtelności łowcy antysemitów już się nie zagłębiają.

– Nie jestem pewna, czy powinnam z tobą dalej rozmawiać.

– Czekaj, bo to mi się nie wzięło znikąd. Mam otóż szalenie niesłuszną refleksję na temat wybryku posła Brauna.

– Chcesz go bronić?

– Braun nadaje się do leczenia w bardzo zamkniętej placówce lecznictwa otwartego. Ale przywiodło mnie do myśli dotyczącej obrzędów religijnych na terenie sejmu.

– Nie powinno być żadnych.

– Dokładnie. Zapalanie świec chanukowych to uroczy obyczaj, i jeszcze klezmerzy grali „Bei mir bist du szejn" i w ogóle było to na pewno piękne i wzruszające wydarzenie – jednak jest to obrzęd religijny, co stwierdził sam marszałek Hołownia, informując Brauna, że skieruje „wniosek do prokuratury za zakłócenie obrzędu religijnego na terenie kancelarii sejmu". Chanuka przeszkadza mi oczywiście dużo mniej niż katonabożeństwa, które się za chwilę zaczną, ale jestem za równością wykluczenia jasełek z budynku parlamentu, niezależnie od tego, czy są papistowskie, talmudyczne, czy też – jak poinformował posłów Grzegorz Braun – satanistyczne.

– Twierdzę tak, od kiedy nawróciłam się na wrodzony każdemu ateizm, czyli od pół wieku z dużym okładem. Wracając do Brauna: okazał się pożytecznym idiotą…

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Dla Tuska, bo zwolnił go z odpowiedzi na pytania o program rządu?

– Bardziej dla Millera. Który w rzuconym właśnie na rynek wywiadzie rzece z Lisem opowiedział zabawną w jego mniemaniu anegdotkę o swoim nieudanym stręczycielstwie. Lis był szczerze ubawiony.

– Nieudacznością Millera w roli alfonsa?

– Raczej całą sytuacją. Podczas wizyty w Polsce – opowiada były premier rządu Rzeczypospolitej – Berlusconi bawił się tak dobrze, że zażądał, żeby sprowadzić dziewczyny. Miller polecił, aby funkcjonariuszki BOR przyszły dotrzymać gościowi towarzystwa, tylko wcześniej odłożyły broń.

– To była słuszna decyzja, mogłyby nawalonego cepa zastrzelić.

– Na szczęście do przestępstwa nie doszło, bo kompletnie pijanego Berlusconiego wynieśli jego ludzie. Zarówno „Premier" – to dumny tytuł książki – jak i redaktor uznali to za bardzo zabawne i rechotali niczym Lepper niemogący uwierzyć, że można zgwałcić prostytutkę.

– Od Leppera proszę się odchrzanić, ja go bardzo szanowałam. I powiem ci, że może głupio się zachował z tym rechotem, ale nigdy przez wszystkie lata, przez które go znałam, nie traktował mnie inaczej niż z szacunkiem. W odróżnieniu od wielu innych posłów, którzy byli wysoko urodzeni, starannie wykształceni i głęboko obleśni… Wracając do Millera i dziewczyn z BOR-u…

– Zachowanie Millera było absolutnie naganne, ale przyznanie się do tego jest najzwyklejszym w świecie kretynizmem. Chłop zrobił po 20 latach odwrócone #metoo i chyba zrozumiał swoją głupotę, bo wstydził się pokazać w sejmie na exposé Tuska. Na szczęście dla Millera Tusk z Braunem przykryli nawet rocznicę stanu wojennego…

– À propos stanu wojennego: Małgosia mi opowiadała parę lat temu w dialogach, że kiedy Jaruzelski umarł i Kiszczak też, to jakaś smutna grupka postanowiła pokrzyczeć choć pod domem Urbana. Ale im się domy pomyliły i zaczęli wznosić antykomunistyczne okrzyki pod płotem ich konstancińskich sąsiadów. Więc Małgosia wsiadła na swój trójkołowy rowerek i ruszyła w ich stronę, żeby ich wyprowadzić z błędu. „Urban mieszka po drugiej stronie ulicy" – poinformowała. Zgromadzeni uprzejmie jej podziękowali i przeszli pod właściwy płot. A Gośka z nimi. „Precz z Goebbelsem stanu wojennego!" – zawołała. „Precz!" – podchwyciła grupka. „Powiesić Uszatego!" – zakrzyknęła. „Powiesić" – uradowała się grupka. „Państwo pozwolą, że się przedstawię – powiedziała Małgosia po tak udatnym nawiązaniu kontaktu – Daniszewska. Jestem żoną Urbana"…

– No i co oni na to?

– Speszyli się i rozeszli.

– Żądne krwi tłumy już nie są takie jak dawniej.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Raport z badań przeprowadzonych w celu zdobycia sprawności harcerskiej badacza

Raport powstawał w dzień poprzedzający przegłosowanie w sejmie gabinetu premiera Donalda Tuska, w dzień tego głosowania oraz w dzień po głosowaniu. Raport polega na porównaniu natężenia różnych zjawisk fizycznych i niefizycznych; odpowiada na pytanie, jak się zmienił świat po przegłosowaniu rządu Tuska. Pomiary zostały wykonane w Warszawie w południe w dniach 10–12 grudnia 2023 r. Szczegóły:

ZJAWISKO	JEDNOSTKA	PRZED GŁOSOWANIEM	PO GŁOSOWANIU
temperatura powietrza	stopień Celsjusza	–10°C	+20°C
nasłonecznienie	luks	20 000 lx	90 000 lx
ciśnienie atmosferyczne	paskal	999 hPa	1040 hPa
ciśnienie tętnicze (skurczowe/rozkurczowe)	milimetr słupa rtęci	170/110	120/80
optymizm, chęć do życia	procent (stopień zaróżowienia okularów)	20 proc.	70 proc.
kłamliwa propaganda telewizyjna	rachoń	220 rch	200 rch (i spada)
kłamliwa propaganda rządowa	mateusz	1200 Mt	300 Mt
szalbierstwo/złodziejstwo rządowe	złoty polski	nie mniej niż 50 000 000 000 zł	0 zł
aktywność prezydenta	duda polski	3 dp (na nartach)	0,2 dp (w sejmie)
wkurzenie społeczne	wkurw	87 w	39 w
sprawiedliwość dziejowa	liczba sejmowych komisji śledczych	0	0

Czuwaj!

tropiciel PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 278

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a3aa8fdd3e